EPOKA

ROK VI. Warszawa, 25 stycznia 1939 r. ROK VI Nr 3 (142)

Hiszpania pod bombami

„Arcychrześcijański" generał Franco uważał za stosowne rozpocząć swą ostatnią ofensywę przeciw Katalonii akurat w wieczór wigilijny. Jak wiadomo, jest tradycyjnym życzeniem Watykanu, aby na okres świąt Bożego Narodzenia ustawały wszelkie działania wojenne. I w tym roku również wysunięto sugerowane przez kurię rzymską propozycję krótkotrwałego zawieszenia broni w Hiszpanii. M. in. z propozycją taką wystąpił kardynał Verdier. Rząd republikański chętnie wyraził swą zgodę na tę jakgdyby nowoczesną formę „pokoju Bożego" pod auspicjami Watykanu. Ale hiszpańscy wykonawcy rozkazów „osi" odpowiedzieli na humanitarne sugestie Stolicy Apostolskiej — bombami. Należy przypuszczać, że ta bestialska i cyniczna odpowiedź będzie miała także i dobre skutki. Przyczynić się bowiem musi do otwarcia oczu tym katolikom, którzy wciąż jeszcze— mimo narastających zastrzeżeń — uważali kondotierów hiszpańskich za bliższych swej ideologii od tych nawet obrońców Republiki, którzy otwarcie głoszą katolicyzm. Nieubłagana jest Nemezis dziejowa, Wciąż pogarszające się stosunki między Watykanem a Berlinem pociągnąć za sobą muszą pogorszenie stosunków między Watykanem a Burgos.

Bestialstwo, cynizm, lekceważenie życia ludzkiego i pomiatanie godnością ludzką — to nieodłączne cechy faszyzmu.

Jakże straszliwie potwierdza tę prawdę już choćby sam sposób prowadzenia wojny domowej przez [illegible]kę Franco! Jakże często potwierdzają ją bombardowania miast nieobronnych ,ostrzeliwania z samolotów uciekającej przed „narodowcami" ludności, dziesiątki tysięcy pomordowanych dzieci, kobiet i starców!

Cordell Hull„ minister spraw zagranicznych Stanów Zjednoczonych, wyraził się w swej znanej deklaracji z 21 marca ub. r., że „hekatomby ludności cywilnej... spowodowane przez niedawne bombardowanie Barcelony, nie mogą być usprawiedliwione żadną teorią wojenną. Podnosząc swój głos przeciw tym okropnościom, jestem pewien, że wyrażam opinię całego narodu amerykańskiego". Cordell Hull nie chciał jakgdyby pamiętać, że istnieje teoria usprawiedliwiająca wszelkie okropności i okrucieństwa wojny. „Wojna totalna niczego nie oszczędza i niczego nie respektuje. Wszelkie środki walki będą przez nią zastosowane, przede wszystkim zaś najbardziej okrutne, które są jednocześnie najbardziej wydajnymi". Oto wyznanie wiary gen. Ludendorffa, pozostawione w sławetnym dziele p. t. „Der totale Krieg". A rodak generała, niejaki von Ortzen postawił przecież kropki nad „i" w swych „Grundsätze der Wehrpolitik (Hamburg 1935):

„Gdy bomby zapalające niszczą nieprzyjacielskie miasta, gdy ich mieszkańcy są ostrzeliwani z samolotów, opór staje się niemożliwy. Zdemoralizowany lud żąda zaprzestania działań wojennych... Decyzję (poddania się) łatwo będzie uzyskać od narodu słabo lub wcale nie zaopatrzonego w lotnictwo wojenne".

Rodak zaś obu zacytowanych autorów, gen. von Theysen jest jeszcze bardziej konkretny i precyzyjny. Twierdzi on, że „jeśli uda nam się rzucić, powiedzmy, 300 tonn bomb zapalających i duszących

na miasta i centra przemysłowe przeciwnika, to powinniśmy skończyć wojnę w ciągu miesiąca. Istotnie, zniszczenie centrów żywotnych musi wstrząsnąć podstawami socjalnymi oporu przeciwnika".

Niemiecko-totalna teoria prowadzenia wojny stosowana jest przez rebeliantów hiszpańskich. Zapewne, gen. v. Theysen nie przewidział chyba, że ktoś zechce wyzyskać jego teorię dla niszczenia „własnych" miast, „własnej" stolicy, ‚własnych" centrów przemysłowych... Zapewne, gen. von Theysen nie docenił pewnych czynników oporu bombardowanej ludności i grubo przesadził, przewidując zakończenie wojny totalnej w ciągu miesiąca... Zapewne, podobnie błędną okazała się cała teoria „Blitzkampfu" von Seeckta... Zapewne, historia nie posłuchała niemieckich fachowców i przyznała rację tym którzy zaraz w pierwszych tygodniach hiszpańskiej wojny domowej przewidzieli jej długie trwanie... Ale bomby padają wciąż. Ale wciąż pada bezbronna ludność cywilna, która widocznie musi się „demoralizować" przez znacznie dłuższy okres czasu, niż byli skłonni mniemać Örtzenowie i Theysenowie.

Reżim republikański nie może swym przeciwnikom odpłacić pięknym za nadobne. Nie dlatego, aby nie miał koniecznych po temu środków orężnych. Ale dlatego, że bombardując Burgos czy Sewillę, uderzałby w masy ludności, przede wszystkim robotniczej, której jest i będzie obrońcą. Prawowity rząd Hiszpanii nie może być katem swego ludu nawet za cenę dezorganizacji tyłów przeciwnika. Stosując faszystowskie środki walki, grzebałby sam siebie, podczas gdy Franco musi być posłusznym swym berlińsko-rzymskim mocodawcom nie tylko w zakresie *celów*, ale i w zakresie *metod*. Dlatego w słynnym wywiadzie z wysłannikiem „News Chronicle" mógł ten „narodowy" generalissimus (uważany zresztą przez niemieckich specjalistów za kiepskiego dowódcę) oświadczyć, że jest gotów „rozstrzelać pół Hiszpanii, aby osiągnąć swój cel".

Zachęty dla takiego postępowania nie szczędzi mu zresztą np. faszystowska prasa Włoch., Można było czytać w „Messagero" (i gdzieindziej) wielokrotną gloryfikację bombardowania osiedli nieobronnych. Niejaki Cesare (!) Roberti pisał w wymienionym piśmie z dn. 29 czerwca ub. r., że „bombardując Walencję „Falchi" z Balearów wykazał wartość legionowego lotnictwa". Tak cynicznie potrafi się chełpić tchórz swoim okrucieństwem! Na szczęście, poza totalistycznymi katarynkami, trudnoby znaleźć jakiekolwiek pismo w całej prasie światowej, które ważyłoby się usprawiedliwiać systematyczną mordownię hiszpańskiej ludności cywilnej. Bynajmniej nie wrogo do rebeliantów usposobiony „Times" ostrzegał ich w n-rze z 31 maja ub. r., że „metody, zastosowane przeciw katalończykom, nie mogą nie wywołać najgłębszej nienawiści". Tych zaś, którzy nazbyt już przyzwyczaili się do hiszpańskich okropności, upomina gorąco François Mauriac:

„Potworna obojętność pewnej części opinii europejskiej wobec zbrodni „wojny totalnej" jest współwiną, która, być może, zostanie ukarana śmiercią".

Jakże głęboko uzasadnione są te złowróżbne słowa! Ramon Sender w swej znanej na Zachodzie ksiażce pt. „Contre-attaque en Espagne" przytacza charakterystyczną rozmowę:

„Dlaczego macie tyle wiary w zwycięstwo?" — pytał na ulicy młody milicjant drugiego, znacznie starszego...

„Bo jeśli, uważasz, ci, którzy robią te spustos nia, odnieśliby zwycięstwo, to wyszłoby, jakgdy świat cały popełnił samobójstwo..."

Tak: obojętność wobec zbrodni faszyzmu gr „karą śmierci" grozi ukazaniem się nad głowami obo jętnych tych samych „Falchi", „Junkersów", „Savoia" i „Heinklów", które wczoraj bombardowały Ba celonę i Madryt... Tak: pozostawienie bezbronne ludności Hiszpanii jej własnemu losowi — byłby to gest samobójczy!

Wszelako nie miejmy złudzeń: nie o „humanitaryzację" wojny chodzić nam powinno. Rozumie to doskonale Romain Rolland, gdy pisze:

„Jestem przejęty grozą na widok bombardowania otwartych miast i nikczemnej masakry ludności.

Lecz pozwólcie powiedzieć sobie, że nie zrobicie wojny bardziej humanitarną! Nie zrobiono jej taką nigdy.

Należy uczynić ją niemożliwą. Skoro jedynym środkiem jest przymus narzucony kolektywną organizacją bezpieczeństwa, twórzcie związek dla jej powołania! Albo świat rozwiąże to zagadnienie, albo zginie"!

Niczyje bezpieczeństwo nie może być obojętne dla współczesnej demokracji. Konsekwentnie: trzeba umieć stanąć w obronie cudzego bezpieczeństwa tj. cudzej niepodległości. Trzeba jej bronić: pośrednio lub bezpośrednio, gospodarczo lub orężnie, ze wszech sił lub w miarę możności — ale zawsze z całego serca. Tylko w ten sposób da się oszczędzić światu wciąż nowych i nowych ofiar, tylko w ten sposób da się uniknąć ‚samobójstwa". Obrona napadniętego przed napastnikiem to najskuteczniejszy dziś środek uniemożliwienia wojny na przyszłość.

O takie postawienie sprawy wołają dzieci hiszpańskie. Woła straszliwa liczba 10.699 chłopców i dziewcząt, zabitych podczas ustawicznych bombardowań miast i wiosek Hiszpanii. Liczba ta obejmuje zresztą tylko ofiary za czas od wybuchu rebelii do końca marca ub. r. Podobnie: suma 15.320 dzieci rannych, podana przez jedno z ostatnich wydawnictw Światowego Komitetu do walki z wojną i faszyzmem („Bombardements et agressions en Espagne", Paris, 1938, str. 52).

Mussolini obiecał wprawdzie:

„W tej wielkiej walce, która postawiła twarzą w twarz dwa typy cywilizacji i dwie koncepcje świata, Italia faszystowska nie była neutralna: walczyła, a więc zwycięstwo (Franco) będzie także jej zwycięstwem".

Wszelako i Mussolini nie przewiduje bez omyłek. Omylił się przecież, będąc pewnym swego czasu zwy cięstwa dywizji włoskich nad brygadami międzynarodowymi pod Guadalajara!

Okazuje się bowiem, że „niemożliwością jest walczyć przeciw ludowi, który nie chce być pokona-

---

„EPOKA" nie jest pismem przypadkowym ani koniunkturalnym. „EPOKA" kontynuuje tradycję, zapoczątkowaną przez wspaniałe ogniska kultury i myśli polskiej, postępu i wolności — przez „GŁOS", „PRAWDĘ", „OGNIWO", „SPOŁECZEŃSTWO".

„EPOKA" pod inną dziś nazwą, ale pod tym samym sztandarem trwa na szańcu DEMOKRACJI i NIEPODLEGŁOŚCI.

ny. Zamiast zdemoralizować ludność cywilną, zbrodnicze bombardowania miast naszego zaplecza wzmogą tylko chęć oporu hiszpańskiego ludu“ (gen. Miaja).

Dlatego premier dr Juan Negrin mógł oświadczyć przed pół rokiem:

„W walce o przyszłość naszego kraju, która teraz jest w grze, umrzemy lub zwyciężymy. I właśnie: zwyciężymy!...

Pewność triumfu dały nam doświadczenia wszystkich dni“.

ZYGMUNT JAROSZ

Dekada polityczna

Napór faszyzmów rodzi opór.

Przeżywamy kolejną passę totalistycznej ofensywy. Nie tylko w sierrach katalońskich, na całym obszarze Europy, od Norwegii po Gibraltar, od Birmingham po Morze Czarne, oś atakuje znowu. Jak zawsze dotąd, wspiera ją sojusznik najcenniejszy: wielko-finansowa Targowica w czołowych mocarstwach Zachodu. W chwili, kiedy włoskie dywizje zaciskają, nad brzegami Ebro, pętlę na szyi nie tylko Republiki Hiszpańskiej, nie tylko Imperium Francuskiego chociażby, ale demokracji europejskiej, w ogóle trudno mówić spokojnie o roli Chamberlainów i Bonnetów, spiskujących w imię interesów wielkiej finansiery przeciwko własnej ojczyźnie.

Ale — mimo wszystko, sprawa demokracji nie zostanie przegrana, choćby nastąpić miały jeszcze inne zdrady tych panów. Demokracja europejska ma twarde kości i może wytrzymać, jeśli będzie konieczne, nie jedno jeszcze Monachium. Demokracja mogłaby przegrać w jednym jedynym wypadku: gdyby ją zdradził nie Bonnet, czy Chamberlain, nie ten czy inny rząd lub minister, lecz ludy europejskie. Gdyby te ludy straciły wiarę, że można i trzeba walczyć o swe prawa.

O tym jednak nie ma mowy. Przeciwnie. Potężnieje w masach ludowych wola oporu, wola przeciwstawienia się totalistycznym podpalaczom świata. Łączy się w tym kierunku wszystko, co zostało żywe i niezgangrenowane na prawicy społecznej, wszystko co przy odcinaniu kuponów dywidendowych nie zatraciło jeszcze do reszty zmysłu dla dobra własnego kraju. Walka trwa. I skończy się, prędzej czy później, przegraną Targowic i ich osiowych protektorów.

Rzym — nowy Godesberg?

Powrót Mr. Chamberlaina z Rzymu odbył się przy akompaniamencie alarmujących wiadomości o zerwaniu wszelkich pertraktacji, o dramatycznym przebiegu rozmów rzymskich, o nadchodzącej, zasadniczej zmianie polityki chamberlainowskiej. Bezpośrednio po tej wizycie brytyjska Home Fleet wypłynęła z portów, na wielkie manewry na Morzu Śródziemnym. Pierwszym ministrem brytyjskim, z którym natychmiast po powrocie, odbył naradę Mr. Chamberlain, był minister obrony lotniczej. W kołach demokracji europejskiej znaleźli się tacy, co dopatrywali się w takim przebiegu wizyty rzymskiej początku nowej polityki mocarstw zachodnich, w każdym zaś razie zdecydowanego przeciwstawienia się pretensjom włoskim. Wydaje się nam, że tego rodzaju interpretacja jest zupełnie fałszywa. Porównując przebieg kryzysu śródziemnomorskiego z kryzysem sudeckim, widzimy w wizycie rzymskiej najwięcej analogii do wizyty w Godesbergu.

Podobnie, jak w czasie Godesbergu, premier Chamberlain nie mógł od razu ustąpić Rzeszy, tak w Rzymie nie mógł od razu ustąpić Włochom. Nie pozwoliłby mu na to jednomyślny protest opinii publicznej Francji, która zmiotłaby z powierzchni, w odpowiedzi na jakiekolwiek ustępstwa, jego przyjaciela Bonneta. Nie pozwalała mu na to siła opozycji w Anglii i ferment w stronnictwie konserwatywnym, który zmuszał go do unikania zbytniego obciążenia nowymi aktami kapitulacji.

Podobnie, jak w okresie Godesbergu, wszystko zależało przede wszystkim od jednego: od utrzymania się przy władzy przedstawicieli kursu „monachijskiego“, czy, jak się wtedy jeszcze nazywał, „porozumiewawczego“. I podobnie, jak wtedy, przedstawiciele systemu kapitulacji mogą się utrzymać przy władzy w jeden jedyny sposób: przez udawanie „zdecydowania“, gotowości oporu, gotowości obrony. „Daladier - Monachijczyk bynajmniej nie kłóci się z tym Daladier, który odwiedził Korsykę i Tunis“—pisała niedawno „Oeuvre“. Przeciwnie, uzupełniają się oni nawzajem. Jest to prawda. Tylko prawda inna niż ta, o której myślał organ monachijskiego bohatera. Mocne słowa z Ajaccio i Sfax mają stworzyć p. Daladierowi tę pozycję, która pozwoli mu później dokonać nowej „monachijskiej“ kapitulacji. To samo dotyczy p. Chamberlaina.

Co ma w konflikcie obecnym zastąpić „war scare“, „wojenną panikę“ dni wrześniowych? Co ma stworzyć w społeczeństwach Zachodu ten nastrój paniki, któryby umożliwił nowe podarki dla osi? Jeśli nas wszystko nie myli, argumentem decydującym ma się tu stać upadek Republiki Hiszpańskiej, zwycięstwo dywizji włoskich na polach Katalonii. Ono ma stworzyć tę „nową sytuację“, na której podstawie trójkąt Chamberlain — Hitler — Mussolini zechce podyktować swe prawa Francji. W Rzymie stanęła cicha umowa, iż Chamberlain na razie „tylko“ nie dopuści do otwarcia granicy pirenejskiej, zapewni włoskim korpusom ekspedycyjnym wolną rękę wobec pozbawionych dowozu broni i amunicji wojsk Republiki. Kiedy armaty włoskie znajdą się wzdłuż całej granicy pirenejskiej Francji, wtedy dopiero nastąpi ciąg dalszy „budowania nowej Europy“.

Wiele przemawia za tą właśnie hipotezą. I serdeczne słowa pożegnania brytyjskich mężów stanu, zgoła nie usprawiedliwione dotychczasowymi wynikami „współpracy“. I „ukłon rzymski“, oddany przez pobożnego min. Halifaxa witającym go faszystowskim dygnitarzom Florencji. I dziwne uwagi chamberlainowskich „Times“ o „koniecznych zmianach“, jakie muszą i powinny być dokonane w basenie śródziemnomorskim, byle bez gwałtu i szantażu. I pewne, bardzo ciekawe skreślenia, jakie poczynił p. min. Bonnet, w co mocniejszych, przeznaczonych na użytek wewnętrzny, ustępach mów p. Daladiera. I gwałtowny atak, jaki skierował na „małym kongresie“ partii radykalnej tenże p. Daladier przeciwko stronnictwom robotniczym, najbardziej zdecydowanym przedstawicielom „polityki oporu“.

Czy manewr uda się i tym razem? Czy opinia publiczna Zachodu, nauczona doświadczeniem jednej kapitulacji, przekreśli z góry swą akcją plany dokonania drugiej?

Burza nad Katalonią. Na razie oś działa w Hiszpanii. Długo przygotowywana ofensywa gen. Franco doprowadziła do wzięcia Tarragony. Dywizje włoskie i ich pomocnicy narodowości hiszpańskiej szturmują w tej chwili trzecią linię fortyfikacji republikańskich, ostatnią linię, broniącą Barcelony. Skąd te sukcesy?

„Nowe, potężne zapasy materiałów wojennych wszelkiego typu — pisze sprawozdawca konserwatywnego „Daily Telegraph“ — zostały przysłane w ostatnich tygodniach do Hiszpanii. Niemcy przysłali wraz z materiałem wojennym nowe kadry wysoko kwalifikowanych specjalistów technicznych. Obie dywizje włoskie, biorące udział w natarciu, zostały zaopatrzone w pełne, nowe uzbrojenie, w ekwipunek przewyższający o wiele ekwipunek jakichkolwiek wojsk hiszpańskich.“

Oto wyjaśnienie zagadki. Na sześćset armat gen. Franco przypada zaledwie sto armat armii republikańskiej, stosunek sił lotnictwa jest jeszcze gorszy. Wojna współczesna jest wojną ognia. Najlepsze, najbardziej ofiarne oddziały nie obronią pozycji, gdy im brak nabojów. Zamknięcie granicy pirenejskiej, blokada „komitetu nieinterwencji“—oto prawdziwe przyczyny powodzeń gen. Franco.

Ale jeszcze Katalonia się broni. Pamiętamy mroczne dni jesieni 1936 r., gdy Franco podchodził pod Madryt. Wtedy sytuacja przedstawiała się bodaj jeszcze gorzej. Armia republikańska cofa się, ale cofa się w porządku. Została pobita, ale nie rozbita. Rzecz charakterystyczna, że sprawozdawcy wojenni prasy włoskiej i niemieckiej zachowują rezerwę o wiele większą od naszych „czerwoniaków“, liczących już ile dni dzieli ich od upadku Barcelony. W Barcelonie panuje ład i wola walki. Ta wola może zrównoważyć przewagę ognia i broni.

Węgry pod rozkazami osi. Ale oś działa nie tylko w Hiszpanii. Bez armat, samym ich tylko naciskiem pracuje gorączkowo na Wschodzie i Południu. Takim przejawem jej działania jest przystąpienie Węgier do paktu antykominternowskiego, stworzonego przez Berlin, Rzym i Tokio.

Oczywiście, nie o komunizm tu chodzi. Komunizm jest na Węgrzech nielegalny od lat dwudziestu i aby zaostrzyć środki represyjne przeciw komunistom, nie trzeba było admirałowi Horthy'emu posyłać swego ministra spraw zagranicznych do Berchtesgaden. Chodzi o poddanie się ostatecznej kontroli Berlina i Rzymu, wyeliminowanie wszelkich wpływów Zachodu. Dlatego tak przeciwstawia się przystąpieniu do tego paktu nie tylko — mocno zresztą prawicowa — grupa ludowców węgierskich Tibora Eckhardta, ale nawet feudalny hrabia Bethlen, nie podejrzany chyba, nawet dla „Czasu“, o „komunizanctwo“. Od tej chwili Węgry są prowincją Trzeciej Rzeszy, korzystającą jedynie z terytorialnej i kulturalnej autonomii.

I to zresztą — z zastrzeżeniami. Bo oto z kierownictwa organizacji licznych na Węgrzech kolonistów niemieckich musiał ustąpić b. min. Gratz, lojalny wobec państwa węgierskiego. Natomiast dążący ponoć do „odrodzenia madziarskiej rasy“, premier Imredy przyjmuje jako pełnoprawnego Führera Niemców węgierskich niejakiego doktora Bascha, skazanego niedawno przez sądy za obrazę narodu węgierskiego. Pan każe, sługa musi. Pan w tym wypadku, to w żadnym razie nie p. premier Imredy...

Zakarpacie dalej aktualne. Czytaliśmy, parę dni temu, w różnych inspirowanych telegramach, iż Rzesza Niemiecka nie ma żadnego wpływu na wypadki na Zakarpaciu, że wyczyny tamtejszych eks-podwładnych E. Konowalca obciążają, wyłącznie i jedynie, konto księdza Wołoszyna, szefa rządu w Huszcie. Być może.

Jak jednak wytłumaczyć w takim razie, że — podług informacji spokojnego paryskiego „Temps'a“ — na terytorium Zakarpacia odbywa się gorączkowa koncentracja „ochotników“ ouenowskich, że formowane są w szybkim tempie lekkie dywizje zmotoryzowane (którym chyba p. Roman Suszko nie dostarcza maszyn z własnych, skromnych funduszów), że dokonywane są masowe zakupy koni, przy czym płaci się za nie wszelką cenę (rząd czechosłowacki chyba nie rozporządza w chwili obecnej kredytami na ten cel), że, słowem, wszystko, co się tam dzieje wygląda na gorączkowe przygotowanie do jakiejś kampanii wojennej?

Jak wytłumaczyć fakt, zanotowany przez, nie podejrzanego chyba o antypatię dla naszej polityki zagranicznej, korespondenta „Gazety Polskiej“, że aktualny szef propagandy rządu ks. Wołoszyna i jego zastępca siedzą więcej w Berlinie niż w Huszcie, że samochód ciężarowy, z którego wodzowie „Siczy“ (tak nazywa się gwardia ks. Wołoszyna, występująca w komunikatach prasowych pod nazwą „terorystów ukraińskich“) odbierali defiladę swych mołojców, nosił numer rejestracyjny—nie praski bynajmniej ale berliński?

Jak wytłumaczyć, że hitlerowskie agencje prasowe roznoszą triumfalnie po całym świecie wiadomość o wprowadzeniu obowiązkowej nauki języka niemieckiego do wszystkich szkół na Zakarpaciu? Jak wytłumaczyć, że, podług tychże agencji, kanclerz Hitler przekazał osobiście **200** tys. mk. na „pomoc zimową“ Zakarpacia, na ręce ks. Wołoszyna?

Jak wytłumaczyć, że właśnie tymi dniami udała się do Berlina, zaproszona oficjalnie przez Hitlerjugend, delegacja „młodzieży siczowej“ z... sekretarzem ks. Wołoszyna na czele?

Czyżby rzeczywiście niemieckie pieniądze i maszyny płynęły do Zakarpacia, czyżby rzeczywiście „Führer“ Hitlerjugend, p. Baldur von Schirach wysyłał swe zaproszenia tak sobie, bez wiedzy instancji odpowiedzialnych za politykę zagraniczną Rzeszy? A może — może rację ma „Diło“, organ wewnętrznej frondy Unda, twierdzące wręcz: „Trudno sobie wyobrazić, za cenę jakich ustępstw kanclerz Hitler mógłby zrezygnować z miarodajnego udziału Rzeszy w przebudowie Wschodu Europy“?

Hakata warczy i kąsa Polaków. Opinia polska dziwnie mało jest informowana o tym, co się dzieje z Polakami w Niemczech. Dowiaduje się tylko nagle ze zdziwieniem, że taki np. wódz Polaków górnośląskich, Arka Bożek z Raciborskiego, jedna z najbardziej czołowych postaci ruchu polskiego w Rzeszy, został zarządzeniem Gestapo, wydalony ze wszystkich ziem wschodnich Niemiec, że zabroniono mu nawet pobytu w Westfalii, gdzie istnieje poważna kolonia górników polskich, że zakazano mu występowania na wiecach czy zgromadzeniach polskich na przeciąg pół roku. Dowiaduje się potem, z małych notatek, o wydaleniu innych jeszcze działaczy polskich, księży z Górnego Śląska, chłopów z Prus Wschodnich. Na tym kończą się wiadomości o życiu polskim za hitlerowskim kordonem. Dalszych szczegółów trzeba szukać dopiero — w emigracyjnej prasie niemieckiej.

Z prasy tej, dobrze poinformowanej i związanej z krajem, dowiadujemy się, naprzykład, że prezydent policji Wagner w Wrocławiu, ten sam, który swego czasu mówił o zupełnym wytępieniu polskości na Śląsku Opolskim, wydał ostatnio wszystkim znajdującym się w jego okręgu instytucjom i przedsiębiorstwom polecenie sporzą-

dzenia spisów wszystkich tych, którzy posługują się językiem polskim, czytają polskie gazety, utrzymują stosunki z Polską. Samo ogłoszenie tego zarządzenia wystarczyło, by setki Polaków zostało zwolnionych z pracy, częściowo zastąpionych sprowadzonymi pod przymusem Niemcami sudeckimi. Ci Polacy, którzy jeszcze mają pracę, czekają swej kolejki i — na razie wolą nie czytać polskiej prasy, nie pisać, ani nie odwiedzać swych krewnych w Polsce, nie mówić nawet po polsku na ulicy czy w miejscach publicznych.

Równocześnie „Bund Deutscher Osten" odbywa we wszystkich miasteczkach i osiedlach śląskich zgromadzenia, na których omawia się rewindykacje niemieckie wobec Polski. Ilustruje się je mapą, na której Poznań i Grudziądz figurują jako niemieckie miasta! Po zebraniu zgromadzeni udają się najczęściej wspólnie pod mieszkania miejscowych działaczy polskich...

Zaznaczmy, że ostatnie rozmowy bynajmniej nie zmieniły sytuacji na tym odcinku. Wiadomości o ostatnich wydaleniach doszły nas z Warmii — akurat w dwa dni po ogłoszeniu komunikatu urzędowego o wizycie min. Ribbentropa w Warszawie.

Swastyka nad Kłajpedą.

„Keine halben Massnahmen mehr!" „Bez półśrodków!" — pisała „Frankfurter Zeitung" bezpośrednio po wyborach kłajpedzkich. Trzeba przyznać, że ta dyrektywa została wypełniona w pełni, a nawet z nawiązką.

Władzę w Kłajpedzie objął nowy dyrektoriat, kierowany przez p. Bertuleita, tego samego, który tuż przed wyborami ogłosił Anschluss za ostateczny cel niemczyzny kłajpedzkiej. Policja litewska została wycofana z terenu Kłajpedy, pozostała jedynie lokalna policja niemiecka, złożona z członków hitlerowskich bojówek. Te oddziały bojówek, które nie weszły w skład tej policji zostały zalegalizowane w formie ochotniczej straży bezpieczeństwa, umundurowanej i uzbrojonej. Armii niemieckiej w Kłajpedzie nie brak nawet własnej kawalerii. Posłowie sejmu kłajpedzkiego nie składają już przysięgi na wierność republice litewskiej. Wystarczy widać przysięga na wierność wodzowi wszystkich Niemców. Język niemiecki od Nowego Roku jest jedynym językiem urzędowym na terenie kraju kłajpedzkiego.

Na północnej rubieży Rzeczypospolitej granica niemiecka przesunęła się o kilkadziesiąt kilometrów na wschód.

Królewski totalizm na drodze do kapitulacji.

Kiedy król Karol, na trupach berlinternowców z Żelaznej Gwardii, zakładał fundamenty swego własnego, królewskiego totalizmu, należeliśmy do tych, którzy z największą nieufnością odnieśli się do tej imprezy. „Epoka" wskazywała wtedy, że te, godne p. Himmlera, metody rozprawy z agentami obcej potencji, świadczą o wewnętrznej słabości reżymu, który boi się odwołać do jedynego źródła rzeczywistej siły: do rzesz ludowych, zmobilizowanych dla obrony swej wolności. Wskazywaliśmy wtedy, że tego rodzaju totalizm królewski osłabia tylko opór Rumunii wobec nacisku Berlina i doprowadzić musi w sposób nieunikniony, w tej czy innej formie, do kapitulacji, do podporządkowania Rumunii woli osi, do pełnej likwidacji jej niezależności. Nie wiele czasu minęło od tych naszych uwag, a już bieg wypadków zaczyna je w pełni potwierdzać.

Zaczęło się od utworzenia „Frontu Odrodzenia Narodowego", w którego szeregach znaleźli się wybitni przedstawiciele orientacji berlińskiej, jak np. p. Argetianu, gen. Vaitoianu, p. Mironescu i inni. Po tym zaczęły się pertraktacje. Na podstawie tych pertraktacji hitlerowcy niemieccy w Rumunii (istnieje spora mniejszość niemiecka w Siedmiogrodzie) wstąpili kolektywnie do „Frontu", zachowując własną organizację w ramach tego „Frontu", z własnym „führerem", p. Fabritiusem, a przede wszystkim z własną organizacją kulturalno-oświatową, korzystającą ze swobody propagowania „światopoglądu niemieckiego". Słowem mniejszość niemiecka uzyskała prawa, z których nie korzysta w tej chwili nawet chłop rumuński, zorganizowany do niedawna w swej partii ludowej. P. Fritz Fabritius, rumuński „Gauleiter Karmasin", posiada w polityce rumuńskiej prawo głosu, które odebrano twórcom Wielkiej Rumunii, takim, jak Maniu czy Lupu...

Czy zdziwimy się, skoro teraz usłyszymy od nowego ministra spraw zagranicznych, p. Gafencu, mowy na temat bliskiej przyjaźni Rumunii z Rzeszą Niemiecką? Akcenty takie brzmiały już w ostatnim jego przemówieniu na otwarciu komisji ujścia Dunaju. P. Gafencu jest oddawna zwolennikiem przyjaźni z Niemcami. To on przecież kiedyś „wykańczał" Titulescu, to jego pisma „Timpul" i „Argus" robiły swego czasu — jakże zręczną, jakże dyskretną — propagandę Trzeciej Rzeszy...

Ciekawe tylko, co teraz będzie z Siedmiogrodem, którego żądają Węgry, jeden sojusznik przyjaciół p. Gafencu, i z Dobrudzą, na którą ma apetyt Bułgaria, również sojusznik jego przyjaciół. P. Gafencu na razie — robi przyjemną minę.

Każdy totalizm prowadzi do Berlina. Choćby kosztem własnej ojczyzny.

Ameryka daje hasło.

Mowa prezydenta Roosevelta podana była, w swych zasadniczych ustępach, przez całą prasę demokratyczną. Znaczenie tej mowy — o ile za nią pójdą czyny, na co się zresztą zanosi — będzie niezwykle wielkie. Roosevelt zapowiedział w niej rewizję amerykańskiej ustawy o neutralności, wyraził swą solidarność z demokracjami europejskimi, potępił jak najostrzej akty agresji dokonywane przez mocarstwa osi. Stany Zjednoczone w każdym wielkim konflikcie całą siłą swej potęgi staną po stronie światowej demokracji — tak zrozumiano tę mowę zarówno w Londynie i Paryżu, gdzie przyjęto ją głośnymi deklaracjami solidarności — nawet Chamberlain musiał ten prawdziwy policzek dla swych monachijskich zabiegów skwitować uprzejmymi słowami! — jak i w Berlinie, gdzie odpowiedział na nią wybuch wściekłości. Tylko „Gazeta Polska" dopatrzyła się w niej — wzmożenia izolacjonizmu amerykańskiego! Na taką orientację polityczną psychoanaliza posiada określenie „Wunschtraum" Po polsku przetłumaczyć je należy mniej więcej: „marzenie senne, zrodzone z własnego pragnienia". Tego rodzaju politycznych „Wunschtraumów" spotykamy zresztą wiele w organie p. Stahla. Jaka szkoda, że dla międzynarodowej polityki nie można też zrobić czegoś w rodzaju ordynacji wyborczej p. Sławka.

Broni dla Republiki Hiszpańskiej!

Jeśli na Hiszpanii koncentruje się w tej chwili atak faszystowskich potęg, to równocześnie wokół niej koncentrują się i siły oporu przeciw totalistycznemu natarciu. Nie ulega kwestii, że ostatnie dni przyniosły bardzo gwałtowne wzmocnienie światowej kampanii za złamaniem blokady republikańskiej Hiszpanii, za dostarczeniem jej broni, umożliwieniem jej obrony przeciwko natarciu Mussoliniego i Hitlera.

W Ameryce kampania hiszpańska przyjęła niezwykle szerokie rozmiary Rzecz charakterystyczna, przyłączył się do niej prof. F. Shea, dyrektor uniwersytetu katolickiego w Chicago, jeden z czołowych przedstawicieli katolików amerykańskich. Cały obóz po-

piera energicznie tę kampanię. Prezydent Roosevelt osobiście wydał odezwę wzywającą do zbierania funduszów na wysyłkę żywności do Hiszpanii. Szereg czołowych polityków — m i. senator Nye, autor ustawy o neutralności — wypowiedział się za taką jej modyfikacją, któraby pozwoliła na zaopatrywanie w broń rządu Republiki. Podług opinii prasy angielskiej taka modyfikacja jest kwestią bardzo już krótkiego czasu.

W Anglii kampania za poparciem Republiki prowadzona jest szczególnie przez organizacje demokratyczne i pacyfistyczne. Tak np. Rada Pokoju Międzynarodowego wydała dziesięć milionów pocztówek, które miały być wysłane do posłów poszczególnych okręgów, z protestem przeciw przyznaniu gen. Franco praw strony wojującej. W ciągu pierwszego tygodnia publiczność rozchwytała siedem milionów tych pocztówek. Członkowie angielscy brygad międzynarodowych, którzy w liczbie około 500 powrócili do Anglii, objeżdżają cały kraj na samochodach, zaopatrzonych w głośniki i opowiadają wszędzie prawdę o Republice hiszpańskiej. W programie frondy konserwatywnej organizowanej przez posła Sandysa hasło: „Broni dla Hiszpanii!“ umieszczone zostało na drugim miejscu, bezpośrednio po żądaniu rządu koncentracji narodowej.

We Francji wreszcie akcja za Republiką hiszpańską przybrała najszersze rozmiary. Wydana została odezwa solidarności z Hiszpanią, podpisana przez 318 posłów, t.j. absolutną większość parlamentu, m. in. przez byłych premierów radykalnych Steega i Sarraut. Delegacja parlamentarzystów francuskich odwiedziła Barcelonę. W całej Francji odbywają się zgromadzenia, na których rozbrzmiewa hasło: „Armat i samolotów dla Hiszpanii!“ Jawne niebezpieczeństwo, jakim zwycięstwo włoskiego kondotiera Franco grozi granicy pirenejskiej, osłabiło nastroje frankistowskie nawet wśród prawicy francuskiej. Tylko rząd p. Daladiera nadal słucha poleceń Mr. Chamberlaina i pilnuje hermetycznego zamknięcia granicy pirenejskiej. Nic dziwnego, że nawet radykalni posłowie jawnie protestują w parlamencie przeciw chamberlainowskiej kurateli. Czy ich głos złamie wreszcie opór przedstawicieli Lazard Frères?

Bonnet w opałach. Niewątpliwie, wiele zmieniło się we Francji od dni wrześniowych. Pretensje włoskie przyczyniły się w poważnym stopniu do tego rezultatu. Dziś mało już zostało przyjaciół „monachijskiego“ ministra spraw zagranicznych. Coraz częściej powtarzają się aluzje, że czas mu już „passer la main“, oddać swój urząd w inne, pewniejsze ręce. Ostatnio czytaliśmy taką aluzję w prawicowej, ultra-kapitalistycznej „Agence Economique et Financière“.

Charakterystyczna dla tych nastrojów jest dyskusja, jaka toczy się od szeregu dni pomiędzy redaktorem „Oeuvre“, przyjacielem Daladier, p. Piotem, a Leonem Blumem. P. Piot, precyzując w tej dyskusji swe stanowisko wobec żądań Bluma, bardzo wyraźnie dał do zrozumienia, że w polityce zagranicznej nie ma rzeczy niezmiennych i broniąc Daladiera, bardzo starannie milczał o jego ministrze spraw zagranicznych.

Charakterystyczny jest też przebieg dyskusji o polityce zagranicznej w Izbie. Dotąd, po linii p. Bonneta wystąpił jedynie p. Flandin. Gratulant hitlerowski i prezes „Alliance Democratique“. Tej samej Alliance, do której wstąpił ostatnio p. baron Fernand de Brinon, naczelny redaktor, należącej do Lazard Frères „L'Information“, osobistość, której de Kerillis zarzucił wręcz, że w dniach wrześniowych rozdzieliła 350 mil. frs. kubanów hitlerowskich prawicowej prasie francuskiej. Pan baron posłał mu wprawdzie swych sekundantów, ale wolał się przezornie uchylić od rozprawy sądowej, którą, zamiast pojedynku, proponował de Kerillis.

Po przyjaciołach poznacie ich. Po przyjaciołach poznać można p. Bonneta. Ale też po tych przyjaciołach poznaje go coraz więcej ludzi i we Francji. A upadek p. Bonneta, to początek końca polityki kapitulacji.

Czy parasol uspokoi opozycję? Nie mniejsze trudności ma w Anglii najbliższy przyjaciel p. Bonneta, Mr. Chamberlain. Jeśli nastroje opozycyjne przez kilka dni podróży rzymskiej przycichły nieco, to, zaraz po powrocie, wystąpią one na jaw ze wzmożoną siłą.

Labour Party podjęła, wespół z ruchem spółdzielczym, szeroką kampanię propagandową w całym kraju. Liczba wieców, zwołanych zaraz w pierwszym tygodniu, idzie w setki. Kampania ta ma trwać bez przerwy aż do nowych wyborów, które mają się odbyć najdalej na początku przyszłego roku.

Ale o wiele więcej kłopotu niż akcja Labour sprawia premierowi rosnący ferment we własnych szeregach. Wprawdzie próbę organizacyjnego ujęcia frondy konserwatywnej przez zięcia Churchilla, Sandysa i jego przyjaciół, można na razie uważać za nieudaną — sporo przyczyniły się do tego fiaska zapewnienia wierności dla samego Mr. Chamberlaina, w odróżnieniu od jego polityki, i mętna, półfaszystowska terminologia założycieli tej frondy, — ale cały szereg faktów wskazuje, że opozycja wewnątrz stronnictwa konserwatywnego nadal przybiera na sile.

Na konferencji studentów konserwatywnych odrzucono rezolucję pro-chamberlainowską 16 przeciw 10 głosom. W dyskusji podnosiły się głosy, żądające dostaw broni dla Hiszpanii republikańskiej i rządu jedności narodowej dla obrony przed naporem totalizmów. Fakt jest tym charakterystyczniejszy, że federacja studencka to szkoła młodych kadr partii konserwatywnej i że konferencji przewodniczył — Oliver Stanley, Minister Handlu we własnym gabinecie Chamberlaina. Nie wiadomo, jak osobiście głosował Mr. Stanley, ale wiadomo, że patrzy on niezbyt przychylnym okiem na politykę swego szefa, polegającą, podług wcale trafnego określenia innego konserwatysty, na karmieniu lwów ludzkim mięsem.

Konferencja studencka ujawniła fakt jeszcze jeden, który niewątpliwie przysporzy trudności chamberlainistom w najbliższych wyborach: fakt niesłychanej korupcji w szeregach konserwatywnych. Okazuje się, że mandaty do parlamentu bogaci ludzie mogą nabyć tak samo jak domy lub dobra ziemskie, płacąc odpowiednie sumy — mówi się o kilku tysiącach funtów, a więc o ponad stu tysiącach złotych do kas stronnictwa konserwatywnego. Nic dziwnego, że tacy „kupni“ posłowie głosują potem, jak im się każe... Ale czy ujawnienie ceny kupna mandatów nie wpłynie na gotowość wyborców zatwierdzenia swymi głosami tych konserwatywnych szacherek?

Mr. Chamberlain, na razie, jako na jedyny sukces swej polityki, może wskazać na niezwykłe zainteresowanie się publiczności całego świata, wyglądem jego parasola. Wątpimy czy nawet spora część obozu rządowego uzna, że jest to sukces dostateczny, jak na premiera Wielkiej Brytanii.

Japonia w kleszczach. „Anglosaski szach Japonii“, o którym mówiliśmy w poprzedniej „Dekadzie“, przyszedł w chwili dla Japonii szczególnie niewygodnej. Prasa niemiecka, a więc prasa sojuszników Japonii, przynosi mowę japońskiego ministra finansów Ikeda, malującą w niezwykle ciemnych kolorach sytuację gospodarczą kraju. Zapas złota Japonii, w końcu 1936 r. wynosił 1,5 miliarda jenów. W końcu 1937 spadł do połowy. Przy

końcu 1938 r. zmalał do minimum. Japonia staje przed niebezpieczeństwem wstrzymania importu surowców, niezbędnych do prowadzenia wojny. Już prasa angielska donosi, że wielkie ładunki cynku, zamówionego przez Japończyków, leżą w pogotowiu w portach australijskich, bo Japonia nie ma złota, by za nie zapłacić.

A tymczasem to wszystko to dopiero początek. Rząd Stanów Zjednoczonych od 1 grudnia zakazał wywozu do Japonii wszelkiego sprzętu wojennego, od 1 stycznia poszły jego śladem rządy kanadyjski i filipiński. W Anglii i Stanach toczy się szeroka kampania za wypowiedzeniem traktatów handlowych z Japonią, za blokadą gospodarczą Japonii. Już w chwili obecnej akcja bojkotowa wobec towarów japońskich, choć prowadzona przez same tylko organizacje społeczne, odnosi poważne skutki. Import japoński do Stanów Zjednoczonych spadł o 48%, do Holandii o 37%, do Francji o 24%. A tymczasem w Chinach do rozstrzygnięcia daleko coraz dalej. Zdrada Wang-Czin-Wej, na którego tak liczył rząd japoński, przyniosła słabe wyniki, skoro szanowny pan Wang udaje się w podróż do Europy, zamiast objąć prezesurę rządu „zjednoczonych" (japońskich) Chin. Trudności są coraz większe, i coraz bardziej wzmaga się tendencja rozwiązania ich przez jakąś wielką, rozpaczliwą awanturę, w rodzaju zaatakowania wprost mocarstw anglosaskich, systematycznie dławiących Japonię. Rząd Hiranumy, to krok naprzód ku takiej właśnie awanturze. I na Dalekim Wschodzie nikt nie zna dnia ani godziny...

W każdym razie, Japonia zacznie swą wielką awanturę o wiele słabsza, niż była przed rokiem, czy dwoma. A pamiętajmy: każda klęska Japonii na Dalekim Wschodzie musi, nieuchronnie osłabić pozycję osi w Europie!

Otrzeźwienie mas — to koniec dyktatur

Czasy obecne określane są, jako czasy panowania średniactwa umysłowego i duchowego. Do głosu bowiem doszedł pewien typ człowieka niedokształconego o mentalności ambitnego pionka, chętnie uciekającego w stado, pod komendę führerów. Typ ten z iście półinteligencką dezynwolturą upraszcza sobie wszelkie problematy i zagadnienia i wierzy w możliwość ich rozwiązania w drodze nakazu. Skłonny też bywa do stwarzania własnych doktryn i teorii, uchodzących w jego środowisku za objawienia.

Ten rodzaj człowieka stanowiący trzon każdej dyktatury, chętnie i dokładnie gleichschaltujący się na skinienie wodza, masowo zgłaszający „swój akces" do każdej imprezy mającej swe oparcie na bezmyślności stada — to nie tylko karierowicz. Byłoby pomyłką sądzić, że każdy ruch totalny utrzymuje się tylko na karierowiczach i na terrorze. Istnieją bowiem duże zastępy dobrowolnych, ba, entuzjastycznych adherentów autokracji. Aby jednak objektywnie zdać sobie z tego zjawiska sprawę, należy dostrzec czynnik prawie dotąd w układach totalnych niedostrzegany. Jest nim mistyka tej masy, jaka z tytułu swej mentalności podlega urokowi kierowanego stada.

Jeśli można uważać z zupełną słusznością, że faszystowska, czy hitlerowska odmiana totalizmu — są koncepcjami wypracowanymi w szczytach hierarchii kapitalizmu — to podkreślić też należy fakt, że w koncepcji tej wygrywa się poza innymi stronami psychiki mas, atut mistycyzmu, i jest to atut bodaj że największy.

Mistyka i zrodzona na jej podłożu wiara — mająca wiele cech wiary religijnej — to atut w grze politycznej dość nieoczekiwany i może dlatego mało na ogół uwzględniany przy rozważaniu ruchów totalnych.

Kompleksu wodzostwa zarówno w jednostkach, jak i w masach, niepodobna jednak ani zrozumieć, ani docenić bez uwzględnienia w nim elementów mistyki i płynącej z niej wiary.

Bez uwzględnienia mistyki w kombinacji stado — wódz, wiele momentów pozostanie nie zrozumianych, albo zrozumianych fałszywie. W tej bowiem kombinacji odżywa współcześnie mit o boskości władzy, o pomazańctwie władcy, odżywa element mistyki w stosunku podwładnego do samowładcy.

Mówimy dziś często o zadziwiającej trwałości głupstwa, o zdumiewających skokach w głąb średniowiecza, o ucisku i bestialstwie i dziwimy się nie wiedząc, na jaki właściwie rachunek zapisać to wszystko? Gdzie szukać takiego pojemnego i długoterminowego kredytu, na który możnaby wiele współczesnych objawów na terenach opanowanych totalizmem zapisać? Wiele bowiem, bardzo wiele dzieje się tam, jak się to mówi, bona fide, niezawsze i niekoniecznie pod terrorem.

Takiego kredytu nie posiada jednak żadna dziedzina podlegająca kryteriom rozumowym i kontroli logiki. Dziedziny tej szukać trzeba w sferze metafizyki. Istotnie, na kredyt wiary mistycznej można łatwo ulokować i głupstwo, i nonsens, i bestialstwo i samoudręczenie — słowem wszystko, co ma posmak flagellanctwa, sekciarstwa, apokalipsy. Tu, w tych mrokach mistycznych, kredyt wiary stoi zawsze w stosunku odwrotnym do wymogów zdrowego rozsądku i krytycyzmu. Im coś jest bardziej absurdalne, krwawe i ponure — tym ma większy posłuch w wierzących masach. Aksjomat: credo quia absurdum est — działa tu tak samo sprawnie, jak i w dziedzinie religijnej.

Tu leży przyczyna windowania się władców już nie na piedestały, lecz na ołtarze, stąd też pęd do nieomylnictwa (wódz nigdy się nie myli!) tu należy szukać natchnień do „trupiego posłuszeństwa" w szeregach „wiernych".

W tym wszystkim działa mistyka umiejętnie rozbudzona i podsycana w masach. Tę siłę dotąd bezkonkurencyjnie prawie eksploatowaną przez Kościoły — skierowano na młyn ustroju. Trudno orzec, w jakim stop-

niu sami wodzowie wierzą w swe nadprzyrodzone cechy i boskie posłannictwo, a w jakim stopniu świadomie używają tego nimbu, jako koniecznego w tej grze rekwizytu. Prawdopodobnie działają tu równorzędnie dwie siły: od mas ku wodzowi i odwrotnie.

Bez uwzględnienia elementu mistyki — niepodobna jest wytworzyć kompleksu wodzostwa i niepodobna też na nim oprzeć władzy na dłuższą metę.

Tak jak każdy absolutyzm dawniej, tak i współczesne totalniactwo wywodzi siebie chętnie z wyżyn bóstwa i tkwi swymi korzeniami w mistyce. Dawniejsi władcy absolutni, mający swych najklasyczniejszych przedstawicieli na Wschodzie — nazywani bywali synami słońca, czy braćmi księżyca — a wszędzie indziej przysługiwał im tytuł pomazańców bożych. Rozszerzano w ten sposób kredyt moralny władców, lokując go w dużej mierze w sferze metafizycznej. Dzisiejsi dyktatorzy, z tych samych przyczyn,chętnie umieszczają swe osoby w oparach mistycznej wiary.

Tytuły nadprzyrodzone dawniejszym władcom nadawali słudzy urzędowych ołtarzy, co zapewniało tym ostatnim udział w zyskach płynących z władzy. Dzisiejsi dyktatorzy mogą sobie pozwolić na wyłączne użytkowanie swej władzy, ponieważ więź mistyczna łącząca masy z Kościołami, jedynymi do niedawna dysponentami wszelkich nadprzyrodzonych akcesoriów — znacznie osłabła.

Dzisiejsi dyktatorzy sami sięgnęli, niejako ponad głowami Kościołów, do mistycyzmu mas i otrzymali od poddanych nadprzyrodzone tytuły, niejako „bez pośrednika".

Tu też tkwi źródło zatargów współczesnych totalizmów z Kościołami, dawnymi i zasiedziałymi dysponentami mistyki. Zatargi te mają wszelkie cechy walki konkurencyjnej. Dyktatura bez wiary mistycznej poddanych nie poradzi — Kościół bez wiary mistycznej mas — nie wyżyje. Albo muszą się zatem sprzymierzyć — albo walczyć.

Stąd też w dyktaturach tak chętnie są widziane różne nowe, niejako przez reżim spłodzone, koncepcje religijne, stąd liturgiczne niemal celebrowanie uroczystości z obecnością wodza, stąd katechizmy dla użytku „wiernych", różne „dekalogi faszysty", „modlitwy narodowego socjalisty", parafrazy „Ojcze nasz" i t. p. symptomy.

Może najjaskrawiej ujawniają się elementy mistyczne w stosunku stotalizowanych pod komendą „boskiego wodza" mas do żydostwa. Znamy oddawna różne odmiany antysemityzmu, a więc „antysemityzm gospodarczy", „kulturalny", antysemityzm jako dywersja polityczna w pewnych momentach walk — te wszystkie odmiany trafnie nazwane „socjalizmem idiotów". Nie miały one jednak tego charakteru i zabarwienia co antysemityzm współczesny, szczególnie jeśli mu się przyjrzymy u duchowych jego źródeł — hitleryzmu.

Ten antysemityzm — to już nie tylko ruch „społeczny", nie tylko dywersja polityczna, nie tylko walka „w obronie kultury" — to wiara religijna w diabła, to histeria mająca coś z biczownictwa — to walka z bestią apokaliptyczną.

Każda wiara bowiem wymaga dla siebie zarówno przedmiotu kultu jak i przedmiotu nienawiści, szatana, jako objektu walki. Tym „szatanem", a przynajmniej jednym z najpokaźniejszych — w systemie hitlerowskim jest Żyd.

Bez tego obiektu, koniecznego dla ujemnego bieguna mistycznej wiary — system totalny byłby w prawdziwnym kłopocie i musiałby co rychlej obiekt taki wyszukać, gdyby zbrakło tego, niejako standartowego i wypróbowanego w roli bestii apokaliptycznej — Żyda.

Możnaby dziś przeprowadzić bardzo ciekawe i pouczające studium o elementach mistycznych i apokaliptycznych w antysemityzmie w ogóle, i o niesłychanym wzroście tych elementów w antysemityzmie ostatnich czasów pod wpływem prądów totalnych.

Łatwo można wykazać, że całe natężenie „idei" żydożerstwa w 90% przynajmniej tkwi w sferze irracjonalnej antysemitów, a że ta sfera jest najpojemniejsza właśnie w psychice ludzi niedokształconych, u wszelkiego prostactwa umysłowego i duchowego — stąd ten rodzaj ludzi najliczniej zasila szeregi czynnych antysemitów, on też tworzy teorie i daje ideologię całemu ruchowi.

W totalizmie, każdej koncepcji w nim poczętej, chętnie nadawane jest piętno „posłannictwa" i nimb mistyczny. Wszystko jedno, czy to będzie rasizm, czy tradycja narodowa, antysemityzm czy koncepcja polityczna — wszystko musi mieć swoją mistykę i z tej właśnie strony jest podawane masom.

Dlatego też kompleksów wodzostwa nie zwalcza się argumentami rozumowymi na płaszczyźnie społeczno-politycznej. Jest to bezcelowe tak, jak byłaby bezcelową walka argumentami rozumu ze średniowiecznym biczownictwem.

Biczownicy, gnani wiarą mistyczną w konieczność zadawania sobie niesłychanych cierpień, przebiegali całe kraje i ten obłęd szerzył się jak zaraza. Znikli — gdy opary mistycyzmu rozwiały się. W ogromnej mierze przyczyniła się do wygaśnięcia tego obłędu kontr-wiara, iż właśnie oni są opętani przez diabła.

Dzisiejszy pęd do totalizmu zniknie też, jeśli się narodzi siła, która rozwieje nimb nad czołem wodzów. Gdy masy odmówią wodzom nimbu — wodzowie stają się wachmistrzami i pod tym kątem ludzie poczynają na trzeźwo oceniać dobrodziejstwa totalizmów.

Otrzeźwienie mas — to koniec dyktatur.

MICHAŁ JASIEŃCZYK.

Dyktatura może rozporzadzać pełną siłą skoszarowanego narodu, ale jednolitą siłę demokratycznego narodu wytworzyć można wówczas tylko, gdy lud wychowany nowoczesnymi sposobami wie, co się dzieje i dokąd on sam idzie i gdy ma przeświadczenie, że z materialnych zdobyczy ludzkiej godności otrzymuje tyle, ile ma prawo otrzymać.

Franklin D. Roosevelt.

Demokracje świata, które szanują świętość traktatów i kierują się dobrą wiarą w stosunkach z innymi narodami, nie mogą bez narażenia się na niebezpieczeństwo zachowywać się obojętnie wobec uprawianego gdziekolwiek międzynarodowego bezprawia. Nie mogą wiecznie pozwalać, bez skutecznego protestu, na akty napaści na braterskie narody, akty, które automatycznie wszystkich nas podminowują.

Franklin D. Roosevelt.

Z dnia na dzień

OBURZENIE MISTRZA

Mnożą się artykuły polemiczne o książce Ferdynanda Goetla, posiekanej na kotlety przez redaktora wileńskiego „Słowa", Stanisława Cata-Mackiewicza.

Akademik Goetel, mający w swoim dorobku pisarskim dobre powieści i złą passę w „Kurierze Porannym" zapragnął dodatkowo a lekkomyślnie przysłużyć się faszyzmowi pracą apologetyczną. Na tym nowym etapie swojej ewolucji potknął się Goetel na obydwie nogi, za co ściągnął na siebie dotkliwe cięgi z ojcowskich rąk wileńskiego herolda faszyzmu.

Istotnie lekcja mentorska była olśniewająca, a naiwni pospieszyli już pasować Stanisława Mackiewicza na pogromcę polskich okazów faszyzmu. Patrząc na Cata, wymachującego pocięglem, nie dostrzegli w nim dobrego majstra, który wpadł w szewską pasję na widok spartolonej roboty. Tyle lat się trudzę, by w sercach polskich wznieść najwspanialszy pomnik faszyzmu, a tu diabli wiedzą po co wyskakuje taki partacz zawołany i psuje mi całą precyzyjną robotę, wydając ją na uliczne pośmiewisko! Nie wie taki jeden z drugim dyletant, że „Mussolini i jego dzieło zasługują **na poważną** ocenę i **poważne** studia".

Polityka Akcji Katolickiej

Jak wiadomo, w obozie antydemokratycznym istnieją dziś dwie koncepcje totalizmu — tego **węższego**, monopartyjnego, z Ozonem jako jedyną partią rządzącą i w ogóle istniejącą — i tego **szerszego**, który miałby się oprzeć na współdziałaniu Ozonu, endecji, ONR, Stronnictwa Pracy, a nawet niektórych żywiołów ze Stronnistwa Ludowego!)—oczywiście i w tym wypadku pod komendą Ozonu. Pewne objawy wskazują, że ta druga koncepcja odpowiada m. inn. intencjom Lewiatana i... Akcji Katolickiej.

Trzeba bez ogródek stwierdzić, że w ostatnich miesiącach (czy od Monachium?) Akcja Katolicka w Polsce zajmuje stanowisko niedwuznacznie antydemokratyczne. To znaczy, że nie zachowuje się bezstronnie, jak możnaby tego oczekiwać w kraju, gdzie zdecydowana większość ludności katolickiej znajduje się w obozie demokratycznym — że wskażemy tylko na wpływ Stronnictwa Ludowego w masach chłopskich. I jeżeli nikt nie mógłby żądać od Akcji Katolickiej, żeby rzuciła swój autorytet w sukurs **partii** politycznej, jaką jest np. Str. Ludowe — to z drugiej strony fakt jawnego poparcia przez nią Ozonu posiada zupełnie niedwuznaczną wymowę polityczną. Znaczy to, że w tej chwili Akcja Katolicka **prowadzi politykę** jaskrawo niezgodną z sympatiami nie tylko większości obywateli Rzeczypospolitej, ale nawet większości katolików praktykujących.

Fakty

Polityka ta przejawiła się ostatnio w licznych posunięciach, z których przypomnimy tylko najbardziej głośne. Akcja Katolicka zajęła prosanacyjne stanowisko wobec wyborów parlamentarnych, a tym samym przyjęła współodpowiedzialność za kierunek prac obecnego Sejmu. Akcja Katolicka wspólnie z Ozonem zmontowała t. zw. blok sapieżyński w wyborach do rady miejskiej Krakowa. Akcja Katolicka czynnie poparła Ozon w wyborach do rady miejskiej stolicy, gdzie czołowi działacze A. K. wydali odezwę, wzywającą katolików do głosowania na listy ozonowe.

Apel księdza Kosibowicza

Sięgnijmy jednak do autorytatywnego organu A. K., jakim jest niewątpliwie „Przegląd Powszechny", którego redaktor naczelny, ks. Kosibowicz T. J. uznał swego czasu ostatnie dekrety (prasowy itd.) za „nowy, wielki sukces" reżimu. Pozwolimy sobie wyrazić wątpliwość, czy pogląd ten zgodny jest ze stanowiskiem wszystkich katolików polskich...

W styczniowym zaś zeszycie „Przeglądu Powszechnego" czołowy publicysta jezuicki stanowczo domaga się jaknajrychlejszej konsolidacji wszystkich skłóconych dotąd żywiołów antydemokratycznych, usiłując zastraszyć je widmem porozumienia czy nawet bloku... PPS z Ozonem!

Oto przesłanki księdza redaktora:

„rzekome rozgoryczenie polityczne szerokich mas jest tylko w znacznym stopniu **fikcją i demagogicznym chwytem tych czy innych prowodyrów...**"

„wybory samorządowe stanowią zwycięstwo(!) żywiołów katolickich oraz narodowych. Na tej więc i **tylko** na tej platformie może się dokonać zjednoczenie społeczeństwa polskiego..."

„trzeba zmobilizować wszystkie zdrowo myślące elementy polskiego społeczeństwa, by w myśl patriotycznych wezwań **narodowca, katolika** i męża stanu tej miary, co vicepremier Kwiatkowski, przyśpieszyć konsolidację i zjednoczenie na platformie katolickiej oraz narodowej..."

I wreszcie ostry monit — niewątpliwie pod adresem Stronnictwa Narodowego:

„Wszelkie zatem nieustępliwe i partyjnictwem podyktowane eksklusywizmy, które głoszą, że niemożliwe jest porozumienie narodowych i katolickich stronnictw we wspólnej pracy dla dobra Ojczyzny i Kościoła, napiętnować należy jako warcholstwo..."

Blok sapieżyński — na całą Polskę!

Jak widzimy, argumentacja, język i koncepcja polityczna najzupełniej, aż do terminologii włącznie, identyczne z tym, co — zwłaszcza po wyborach samorządowych — czytamy w „Gońcu" i podobnej mu prasie krypto-sanacyjnej, zwanej popularnie endo-oenerowską. Koncepcja otwarcie i wyraźnie antydemokratyczna — totalizm w szerszej edycji, reakcyjny blok sapieżyński w skali ogólno-polskiej. I taki właśnie sens ma surowe skarcenie przywódców Stronnictwa Narodowego, którzy — mimo klęski warszawskiej — trwają jeszcze we „wspaniałym odosobnieniu", bo marzą ciągle o własnym, monopartyjnym totalizmie, którego plony i laury mieliby zebrać oni i tylko oni. Dlatego nie posłuchali dotąd wezwań Akcji Katolickiej i sabotują — jak długo jeszcze? — koncepcję sapieżyńską. Stąd napięte od dłuższego już czasu stosunki między endecją i Akcją Katolicką, która zupełnie wyraźnie forsuje dziś prymat Ozonu w montowanej ze wszystkich sił antydemokratycznej konsolidacji.

A w ten sposób Akcja Katolicka angażuje się w politykę jaknajbardziej niepopularną w społeczeństwie, co w sposób aż nadto naoczny wykazały wybory samorządowe. Owoce już są. Mamy na myśli żałosną degrengoladę Stronnictwa Pracy, które miało być ugrupowaniem katolickim i narodowym, ale wyraźnie wrogim totalizmowi we wszystkich jego odmianach, wyraźnie demokratycznym. Poparte autorytetem Akcji Katolickiej mogło ono odegrać poważną rolę jako tama przeciw ideowej i politycznej hitleryzacji prawicowego i katolickiego odłamu ludności miejskiej. W wyniku proozonowej polityki, inspirowanej mu nie tylko przez Lewiatan, ale i przez Akcję

Katolicką, stronnictwo to zatraciło swoje własne, i tak już bardzo mętne, oblicze ideowe i stało się — poza Pomorzem — krypto-sanacyjnym bankrutem. A szkoda.

SPRAWDZIAN RZECZYWISTYCH INTENCYJ

Rzecz istotna: ks. Kosibowicz bynajmniej nie domaga się zmiany ordynacji wyborczej, która przez cały obóz naprawdę antytotalistyczny wysuwana dziś jest jako wstępny etap na drodze wyjścia z obecnego impasu politycznego. Natomiast milczy o tej sprawie Str. Narodowe, którego opozycja ma charakter nie mniej antydemokratyczny, niż polityka Ozonu. Mamy więc prawo stwierdzić, że apel zjednoczeniowy Akcji Katolickiej zmierza nie w kierunku rzeczywistego, śmiałego wyjścia z antydemokratycznego impasu sanacyjnego — lecz w kierunku podmurowania **istniejącego** systemu. Mamy prawo określić projekty polityczne Akcji Katolickiej jako szerszą edycję, szerszą odmianę totalizmu! Kto wzywa do konsolidacji i zjednoczenia bez zmiany ordynacji wyborczej w kierunku istotnie demokratycznym — ten wzywa do zaakceptowania ozonowego prymatu i monopolu w polskim życiu politycznym. Ostatnie uchwały Rady Naczelnej Stronnictwa Ludowego, które wywołały tyle domysłów i komentarzy, stawiają tę sprawę zupełnie niedwuznacznie: zmiana ordynacji wyborczej jest wstępnym warunkiem normalizacji stosunków politycznych w Polsce. Normalizacji prawnej i moralnej.

OBJAWY OTRZEŹWIENIA?

Istnieje w Polsce pismo, które należało — i należy dotąd — do najwierniejszych heroldów totalizmu polskiego, do najgorętszych zwolenników, głoszonej przez p. Studnickiego, wspólnej z Trzecią Rzeszą „polityki wschodniej"; które stale i systematycznie atakowało każdego, kto ośmielał się kwestionować słuszność jego polityki, jako szkodnika narodu i państwa, jako przedstawiciela obcej agentury. Pismo to, to „Myśl Polska" p. Bączkowskiego, równocześnie redaktora znanego „Biuletynu Polsko-Ukraińskiego".

A oto teraz czytamy w tym, właśnie w tym piśmie, takie np. wywody: „Nasze osamotnienie nie ma charakteru „splendid isolation", lecz niestety tylko izolacji, na skutek wypadków, jakie rozegrały się we wrześniu ubiegłego roku". A jeszcze przed tem, w innym artykule: „Niemcy mając wyraźną linię polityki wschodniej, w której celowym zamiarze nie leży obecnie konflikt zbrojny z Polską — działając dla swoich celów, idą jednak ku osłabieniu Polski..."

I dalej. „Gdyby akcja Niemiec osiągnęła pełne powodzenie, to jest, gdyby czerwony sztandar z czarną swastyką w białym kole miał być wyrazem „rządu dusz" w Słowacji i Karpatorusi, (ależ jest nim, panowie, jest nim już od września! — przyp. „Epoki") — Polska znalazłaby się w analogicznej pozycji, biorąc terytorialnie, w jakiej była Czechosłowacja przed Monachium".

I wreszcie deklaracja zasadnicza: „Nie chcemy odgrywać roli tarczy Sowietów, ale także nie tylko nie chcemy być polem walki między Niemcami a Rosją, ale nie życzymy sobie takiego układu stosunków, w którymbyśmy od północy i zachodu otoczeni byli Niemcami, a od południa i południo-wschodu wasalami Niemiec, których samodzielność byłaby taka jak obecnie Karpatorusi lub Czechów!"

Brawo, brawo, panowie! Tylko wyjaśnijcie nam w takim razie, poco panowie przez cały czas głosili i popierali politykę, która właśnie doprowadziła, w nieuchronny sposób doprowadzić musiała, do sytuacji, której teraz nie chcecie? Jeśli dziś panowie zdają sobie sprawę z tego, że polityka Niemiec na Wschodzie prowadzi, nawet niezależnie od ich woli, do osłabienia Polski, to jak określić należy tych, którzy przez długie lata głosili najściślejszy sojusz właśnie z niemiecką polityką wschodnią?

POLSKA RACJA STANU, CZY INTERES BERLINTERNU?

Czytamy:

„Odległe już są te czasy, gdy wojnę hiszpańską traktowało się jako konflikt dwóch ideologii. Dziś ideologiczne względy zeszły na drugi plan. Nie jest już także wojna hiszpańska pojedynkiem między faszyzmem, a bolszewizmem... Dziś toczy się walka o to, której „osi" sojusznikiem będzie jutrzejsza Hiszpania, albo ściślej, czy stanie się sojusznikiem Italii, czy też będzie neutralna. Chodzi o interesy mocarstwowe, nie osłonione już żadną maską... Chodzi o to, czy Francja będzie miała jedną czy dwie granice do bronienia. W razie zwycięstwa gen. Franco, Francja musiałaby obawiać się udziału Hiszpanii w koalicji antyfrancuskiej, fortyfikować pośpiesznie Pireneje, drżeć o swe połączenie z Afryką Północną..."

Te słuszne, bezwzględnie słuszne zdania znajdujemy w artykule redakcyjnym „Ekspressu Porannego" z 15 stycznia. Ekspress ostatnio deklarował się jako zwolennik sojuszu z Francją, cytował z uznaniem każdy głos francuski, domagający się zacieśnienia stosunków z Polską. Francja jest sojuszniczką Polski. Czyż nie jest jasne, że w interesie polskiej racji stanu leży, by sojuszniczka Polski miała tylko jedną, a nie dwie granice do obrony? By mogła w razie potrzeby wypełnić łatwiej i w szerszym zakresie swe obowiązki wobec Rzeczypospolitej? Zdawałoby się, że to powinno być rzeczą oczywistą.

Tymczasem Ekspress i wszystkie jego dobudówki z prasy czerwonej aż piszczą z radości przy każdym sukcesie dywizji włosko - niemiecko - mauretańskich w Katalonii, i nie mogą się już doczekać chwili, kiedy „Czarne Strzały" obejmą w swe posiadanie gruzy Barcelony.

Logika czerwoniaków? Nie tylko. Przede wszystkim duchowe uzależnienie od Berlinternu, które dotkniętych nim czyni ślepymi nawet na oczywisty, bezpośredni interes Rzeczypospolitej.

DEMOKRACJA NA FRONCIE SAMORZĄDOWYM

W Przeworsku (Małopolska środkowa) PPS i Stronnictwo Ludowe wystąpiły ze wspólną listą w wyborach do rady miejskiej. Powiat przeworski jest terenem najwyższego rozwoju ruchu ludowego. Listę unieważniono.

Wspólna konferencja pomorskiego Stronnictwa Ludowego, Stronnictwa Pracy i Zjednoczenia Zawodowego Polskiego postanowiła w wyborach samorządowych iść łącznie pod sztandarem demokracji, wbrew temu, co stało się w Krakowie, gdzie obóz morżowy połączył się z Ozonem w osławionym „bloku sapieżyńskim" i poniósł sromotną klęskę. Pomorski odłam Stronnictwa Pracy, złożony w znacznej części z demokratycznych rzemieślników, robotników z dawnej NPR i młodzieży „Jedności", nie chce pójść śladem reakcyjnej chadecji krakowskiej. Staje do walki wyborczej przeciw Ozonowi i endecji.

Nawet w najodleglejszych ośrodkach prowincjonalnych demokracja kroczy zwycięsko naprzód.

Na wiecu w Łodzi sekretarz OKR PPS, Wachowicz oświadczył:

„Wszelkie pogłoski o pertraktacjach i współpracy z Ozonem są zupełnie bezpodstawne. Plotki jakoby jednym z wiceprezydentów Łodzi miał być członek Ozonu, są rozpowszechniane przez pewne źródła i pomysł taki jest rzeczywistym absurdem. Stać nas na to, byśmy w Łodzi sami sprawowali władzę, nie dzieląc się nią z tymi, którzy nas tak zaciekle zwalczają".

Realizm na serjo

Psychologia fikcji

Współczesna krytyka literacka bardzo rzadko uświadamia sobie i czytelnikowi różnicę między prawdziwym realizmem psychologicznym, a tym, co nazywa się teraz nowym realizmem". Składają się na to przyczyny natury niewątpliwie ideologicznej. Bo dzisiejsza krytyka literacka — ta oficjalna — odzwierciadla przecież i formułuje wsteczne, schyłkowe tendencje, zrodzone w środowiskach, lękających się prawdy obiektywnej i za wszelką cenę usiłujących zakłamać, sfałszować, zdeformować rzeczywistość, która obraca się przeciw nim. Łatwo zrozumieć, że taka krytyka z zapałem podchwytuje mistyfikatorskie intencje „nowego realizmu", że stara się podmurować go teoretycznie i utorować mu drogę do masy czytelniczej *).

Zdarzają się oczywiście wyjątki — ale tylko wyjątki. Tu zaliczyć wypada np. recenzję powieści Szemplińskiej „Potrójny Ślad", zamieszczoną w grudniowym zeszycie „Przeglądu Powszechnego". Autorka tej recenzji, p. Hanna Wierzbicka, surowo ocenia oklaskiwany przez naszą krytykę izolacjonizm psychologiczny i bardzo trafnie charakteryzuje literaturę, zrodzoną w klimacie „nowego realizmu", podkreślając abstrakcyjny, nierzeczywisty i wbrew pozorom przeraźliwie ubogi obraz duszy ludzkiej i przeżyć wewnętrznych człowieka, roztaczany w powieściach tego rodzaju: „Nie ukazują nam one całego człowieka, ani tym bardziej człowieka jako cząstki wielkiego mechanizmu społecznego"... — a to znaczy po prostu, że nie ukazują nam w ogóle człowieka żywego, tkwiącego w obiektywnej rzeczywistości, lecz fingują twory istniejące nie tylko poza ludzkim bytem materialnym, ale też poza — równie przecież rzeczywistym i ludzkim — porządkiem moralnym; twory, których życie psychiczne płynie sobie autonomicznym, pozaobiektywnym nurtem, biorącym początek w tajemniczym, nierzeczywistym „wnętrzu" bohatera czy bohaterki.

Psychologia fikcji i fikcja psychologii — to prawdziwe osiągnięcia literatury, zachwalanej dziś jako nowy, psychologiczny realizm! A jakkolwiek niektóre, konkretne zarzuty p. Wierzbickiej w stosunku do „Potrójnego Śladu" są napewno niesłuszne (np. zupełnie nieuzasadniony zarzut ekshibicjonizmu, który w tej powieści naprawdę trudno wykryć) — to najzupełniej słuszna jest charakterystyka rodzaju literackiego, do którego powieść Szemplińskiej należy.

„Zanik tła obyczajowego — pisze p. Wierzbicka — zwężenie problematyki do jednego tylko motywu, cały w ogóle kameralny charakter takiej twórczości, stawia przed autorem trudne zadanie uniknięcia monotonii, narzuconej przez te ograniczenia. Środkiem ratunku mogą tu być — i bywają zazwyczaj — najrozmaitsze chwyty kompozycyjne, komplikujące zbyt prostą jednostronność opowiadania". Oczywiście taka czysto formalna komplikacja, w żaden sposób nie zdoła wzbogacić ubogiej, bo nierzeczywistej treści przeżyć wewnętrznych, stanowiących temat powieści. Spowite w kompozycyjną mgławicę jądro tematyczne pozostaje nikłe i nieciekawe: „Z poza tych usiłowań wynurza się uparcie pospolita postać istoty rządzonej przez instynkty, nastroje i kaprysy, żyjącej wyłącznie przygodami miłosnymi i obracającej się w ich ciasnym kręgu — pomiędzy tapczanem a telefonem od kochanka".

Ani talent ani wyrobienie pisarskie nie poradzi bowiem nic przeciw błędnej, nierealistycznej koncepcji duszy izolowanej. Zjawiska psychiczne, włączone w obiektywną całość rzeczywistego świata, mogą być poznawane tylko w tej całości i tylko łącznie z nią stanowić mogą przedmiot pracy poznawczej pisarza. Pisarza-realisty.

Ku psychologicznemu realizmowi

Życie psychiczne, widziane w całym nieskończonym bogactwie jego przejawów, życie psychiczne widziane jako część obiektywnej rzeczywistości, wygląda zupełnie inaczej, niż ukazuje nam „nowy" realizm. Poważna literatura — w przeciwieństwie do urzeczonej pseudorealizmem krytyki literackiej — niewątpliwie zdaje sobie z tego sprawę. Dość spojrzeć na dystans, dzielący Nałkowskiej „Niedobrą Miłość" od „Granicy", żeby dostrzec drogę, po której autorka ta świadomie zmierza w kierunku prawdziwego realizmu. Przecież obie powieści są „psychologiczne"; obie są — jeśli można tak powiedzieć — „prywatne". Ale „Granica" stanowi duży krok naprzód ku prawdziwie realistycznemu ujmowaniu życia psychicznego — ku realistycznej psychologii. W powieści tej „potok życiowy" przepływa już nie tylko przez labiryntowe wnętrza bohaterów, ale i przez świat przedmiotowy, zewnętrzny, jakkolwiek przyczy-

*) Zob. artykuł p. t. **Podrabiany realizm** — w poprzednim (1—2) zeszycie „Epoki".

Do przyjaciół Epoki

PROSIMY O PODANIE NAM ADRESÓW OSÓB, KTÓRYM NALEŻY PRZESŁAĆ NUMERY OKAZOWE EPOKI.

nowe zazębienie zjawisk subiektywnych i obiektywnych bynajmniej nie zostało tu jeszcze w pełni osiągnięte, a metafizyczny punkt widzenia, tak śmiało i trafnie zaatakowany w kapitalnej rozmowie Karola Wąbrowskiego z księdzem Czerlonem, nie został definitywnie przezwyciężony.

Inna, pierwszorzędna pisarka polska ostatniej doby ukazuje nam—w granicach swych ideowo-poznawczych możliwości — psychologię indywidualną, możliwie realistycznie osadzoną w świecie obiektywnym, „zastanym“, psychologię rzeczywistą i po prostu — ludzką. Naglerowa w powieści „Krauzowie i inni“ w sposób naprawdę konkretny wplata dzieje osobiste, w znacznym stopniu wewnętrzne, swych bohaterów w akcję obiektywną, wynikającą z rzeczywistego podłoża codziennych, bytowych stosunków miasteczka wschodnio-galicyjskiego w latach bezpośrednio poprzedzających przełom konstytucyjny w monarchii habsburskiej.

To, co się rozgrywa w powieści, komplikująca się gra osobistych interesów i namiętności, ich starcia i kompromisy, przewagi i klęski jednostek, posiada — przy całej subtelności analizy psychologicznej — walor najzupełniej obiektywny, dostatecznie uzasadniony wzajemnym związkiem przyczynowym między przecinającymi się i mieszającymi szeregami zjawisk przedmiotowych i podmiotowych. Polityka, miejska i krajowa, ukazana w związku z polityką „wiedeńską“ splata się realistycznie z indywidualnymi ambicjami i materialnymi interesami jednostek, które działają, walczą i intrygują, wyzyskując i modyfikując dla własnych celów koniunktury ogólne, a przecież pozostają wplecione w obiektywną rzeczywistość, która przy całej swej różnorodności i zmienności ukazuje się nam jako jedna całość, rozwijająca się według przemożnych, przyczynowo zdeterminowanych tendencyj. Bogate mieszczaństwo i arystokracja, Żydzi i zdeklasowany plebs małomiasteczkowy, ludzie publiczni i prywatni, ostatni mohikanie 48 roku i „nowocześni“ przedstawiciele bluszczowego lojalizmu — wszystkie te figury należą do jednego i tego samego świata rzeczywistego, w którym rozgrywają się ich małe i wielkie dramaty rodzinne, sprawy erotyczne i drobne spekulacyjki dochodowe, rywalizacje na polu parafialnej filantropii i kombinacje wyborcze. Prywatne zawiści i mizerne intryżki osobiste, wygryzanie osób niewygodnych i podstawianie nogi chwiejącym się — to poszczególne scenki obiektywnego dramatu dziejowego, którego treścią jest wypieranie starej generacji niepodległościowej przez młodą wówczas i zdobywczą stańczykowską ugodę, kojarzącą kapitał pieniężny i własność ziemską pod auspicjami opatrznościowego tronu Habsburgów.

W tym dramacie znalazło się miejsce na psychologię indywidualną, subtelnie i wnikliwie przeanalizowaną, przekonywująco i realistycznie odmalowaną. Wnętrze ludzkie, ukazane przez Naglerową ze znawstwem, może nawet z wyrafinowanym już smakoszowstwem, nie rodzi tu jednak owej — równie fikcyjnej jak bzdurnej — problematyki „jaźniowej“, za pomocą której mistyfikuje czytelników t. zw. nowy realizm.

Śladem „starego“ realizmu

Mógłby ktoś zauważyć, że powieść Naglerowej nie jest specjalnie „psychologiczna“, dlatego nie należy jej przeciwstawiać „nowemu realizmowi“, który jest rodzajem czysto psychologicznym.

Być może. Ale literatura polska posiada w swym dorobku powieść prawdziwie psychologiczną, poświęconą właśnie jak najbardziej intymnym, osobistym dziejom jednostki, powieść pisaną w pierwszej osobie, w formie poufnych, a bardzo szczerych i szczegółowych zwierzeń człowieka niewątpliwie rozjaźniowanego, zdradzającego wybitne zainteresowanie własnym wnętrzem i nie mniej wybitną obojętność dla problemów obiektywnych, człowieka, który drobiazgowo analizuje i opisuje swoje wewnętrzne przeżycia, odsłania przed czytelnikiem swą wyrafinowaną i skomplikowaną psychikę.

Tylko, że Leon Płoszowski — bo o nim tu oczywiście mowa — nie jest fikcją, nie jest mitem, ani abstrakcją, lecz żywym, rzeczywistym i całkowicie konkretnym człowiekiem! Wiemy, kim jest — społecznie i towarzysko — bo pisarz ukazał nam poprzez swego bohatera poglądy, obyczaje i kulturę środowiska, w którym go umieścił. Ukazał nam obiektywną sytuację tego środowiska, odsłonił przyczyny, dla których Płoszowski jest taki a nie inny. Dlatego w tej — najlepszej chyba — powieści Sienkiewicza, osobiste, psychiczne dzieje jednostki w jej przyczynowo uzasadnionym konflikcie z sobą samą i ze światem tchną prawdą obiektywną, jak każde dzieło artystycznego realizmu. Hamletyzm, brak woli i kręgosłupa moralnego u tego wysoce inteligentnego i kulturalnego, a przy tym w istocie swej uczciwego człowieka, któremu wszystko „wychodzi“ inaczej, niż by chciał — w sumie daje to charakter żywy i prawdziwy, realistycznie włączony w otaczającą go żywą i prawdziwą rzeczywistość. Płoszowski to nie dusza izolowana, żyjąca i kontemplująca się poza światem obiektywnym — lecz ukazana w nierozerwalnym związku z tym światem, którego jest częścią.

W stosunku do swego bohatera Sienkiewicz występuje przytem nie jako naturalista psychologiczny, dla którego charakterystyka interesującej jednostki jest jedynym celem twórczości — lecz jako pisarz prawdziwie realistyczny. „Bez dogmatu“ jest powieścią wybitnie tendencyjną, ideową, napisaną na użytek konserwatywnej warstwy społecznej, której Sienkiewicz świadomie pragnął służyć i służył. W postaci Płoszowskiego pokazał tej warstwie, jaką być nie powinna — tak jak w Połanieckim wskazał jej, jaką powinna się stać, by utrzymać się na powierzchni i zachować w swych rękach ster życia w nowych warunkach.

Dlatego Sienkiewicz nie rejestruje zjawisk psychicznych, zachodzących w Płoszowskim, lecz celowo je organizuje według planu uwarunkowanego zadaniem, które sobie świadomie postawił. Płoszowski jest dzięki temu rzeczywisty, lecz bynajmniej nie przypadkowy, nie „którykolwiek“ identyczny z każdym innym, lecz właśnie zindywidualizowany, prawdziwie konkretny — tą konkretnością, która przebija poprzez każdą, prawdziwie realną abstrakcję artystyczną.

Naturalizm duszy izolowanej

Bo zagadnienie realizmu, to w gruncie rzeczy nic innego, jak zagadnienie trafnej, chwytającej rzeczywistość, abstrakcji. Uchwycenie i wydobycie momentów istotnych, nie przypadkowych, wyłuskanie z nich tego, co jest obiektywnym zrębem i szkieletem danego wy-

---

Demokracja, praktyka rządów ludowych, to umówienie się wolnych ludzi, że będą szanowali prawa i wolności swych bliźnich. Międzynarodowa dobra wiara, siostrzyca demokracji, wyrasta z chęci cywilizowanych narodów, aby szanować prawa i wolności innych narodów i ludzi.

Franklin D. Roosevelt.

cinka rzeczywistości — oto zadanie wszelkiej pracy poznawczej. I to jest również zadaniem realizmu literackiego. Abstrakcja jest obrazem (nie fotografią) rzeczywistości. A to znaczy po pierwsze: nie jest prawdziwie realistyczną abstrakcją obraz, nie będący uogólnieniem, celowym skrótem jakiegoś obiektywnego konkretu. I po drugie: nie jest taką abstrakcją nieshierarchizowane, nie podyktowane celową selekcją, nagromadzenie konkretnego materiału, gąszcz szczegółów, motłoch drzew, które nie tworzą lasu.

„Nowy realizm" grzeszy w obu kierunkach. Izolowana dusza, którą nam ukazuje, jest nieprawdziwa i dlatego, że jako fikcja nie jest abstrakcją żadnej obiektywnej rzeczywistości psychicznej — i dlatego, że jest produktem jałowego i bezradnego naturalizmu psychologicznego, przytłoczonego zwałami faktów, zatopionego powodzią zjawisk, zabłąkanego w ciemnym gąszczu splątanej konkretności, z którego nie może się wydostać. Wyłączywszy rzeczywistość psychiczną z świata obiektywnego, zamknął sobie „nowy realizm" wszystkie drogi do jej ujęcia i zrozumienia, przez co skazał się nieuchronnie na płodzenie czczych i fałszywych abstrakcyj albo równie czczych, bezcelowych i rozpaczliwie nudnych reportaży psychologicznych.

A reportaż **psychologiczny**, produkt biernego i niezaradnego naturalizmu, jest równie niezdolny do uchwycenia i pojęcia rzeczywistości psychicznej, jak naturalistyczny reportaż **terenowy** nigdy nie odsłoni żywego, głębokiego nurtu rzeczywistości społecznej, nie zorientuje nas w treści życia danego środowiska.

I dlatego „nowy realizm" nie ma nic wspólnego z realizmem psychologicznym. Jest tylko mistyfikacją. Fałszuje i deformuje rzeczywistość psychiczną na użytek tych, którzy zainteresowani są w deformowaniu wszelkiej rzeczywistości. U nich też znajduje poklask i poparcie — jako produkt literackiej i filozoficznej reakcji.

MICHAŁ JORDAN.

Powieść o Cervantesie

Szukamy w powieści historycznej, poprzez obraz wypadków minionych sensu naszych burzliwych czasów, w wypadkach już zaszłych, w rozgrywce sił, w podsumowaniu starć wielkich prądów społecznych poszukujemy współczesnego wskaźnika, analogii, porównań. Złudne atoli pozostają i zwodnicze próby zestawienia identycznych dwóch epok lub zjawisk w dziejach świata: nigdy i to nigdy nie odnajdziemy identycznego układu sił,, pozwalających się utożsamiać zjawisk, które mogłyby usprawiedliwić przypuszczenie, że takież same rozwiązanie czeka współczesny nam problem. Owe powoływania się na bonapartyzm, thermidor, Sedan i Sadowę, owo ciągłe kokietowanie świecidełkami anegdot historycznych, bez równoczesnego ujawnienia głębszych różnic epok — zwiększają jeszcze bardziej istniejący i bez tego bigos pojęć w umysłach naszych współczesnych.

Niemniej przeto bez porównawczych zestawień nie jest możliwe żadne badanie naukowe zjawisk historycznych. Jeśli jednak od naukowca możemy wymagać ścisłych rozgraniczeń, trudniej znacznie skontrolować essayistę, a jeszcze trudniej powieściopisarza, który opowiada o czasach współczesnych pod pseudonimem nazwisk historycznych. Często gęsto dzieje się to nade wszystko w modnych ostatnio powieściach biograficznych, których standaryzowaną produkcją zasłynął Emil Ludwig. Obok historiozofii obliczonej na niezbyt wrażliwe podniebienie eklektyka, mamy w jego powieściach nagromadzenie szczegółów bez żadnej segregacji, bez systematycznego doboru szczegółów. W tym natłoku ginie wszelka perspektywa większej lub mniejszej wagi danego szczegółu. Zamazuje się kontrola i związanie ogniw głównych z drugorzędnymi. Toteż po przeczytaniu takiego „Napoleona" lub „Bismarcka" Emila Ludwiga trudno zaprawdę zorientować się, na jakim szczególe tego rokokowego obrazu zatrzymać uwagę.

Mając aż tyle zastrzeżeń, zarzutów i hamulców w stosunku do powieści historycznej, a szczególnie biograficznej, recenzent zmuszony jest przezwyciężyć w sobie nielada opór, aby zabrać się do przeczytania powieści Brunona Franka o genialnym autorze Don Kichota z La Manczy, Cervantesie.*) Opór ten daje się jednak usunąć dla dwóch powodów. Przede wszystkim, okresem w dziejach Europy, w którym wolno nam pełną garścią szukać analogii, była niewątpliwie epoka Filipa II. Po wtóre, powieść o Cervantesie ukazuje się prawie równocześnie z pierwszym pełnym przekładem polskim dzieła cervantesowego.

Powieść Bruno Franka czyta się raczej z miłym rozczarowaniem: konstrukcja jasna, przejrzysta. Pierwszoplanowa postać Cervantesa, drugoplanowa postać Filipa II. Dyskretne i pełne kultury wyzyskanie tła epoki, jak również w przeciwieństwie do Ludwiga, zdolność dobierania szczegółów i nizania ich na sznurze akcji. Powieść nie obejmuje całości życia wielkiego pisarza: Frank wykroił dla swej fabuły okres do powstania pierwszego tomu Don Kichota i śmierci Filipa II (1598). Być może dalszych osiemnaście lat życia Cervantesa wydały się pisarzowi mniej ciekawe, być może pragnął zakończyć powieść śmiercią Filipa, być może wreszcie postanowił napisać tom II. To wszystko jest zresztą mniej ważne, aniżeli tendencja autora, który w swej powieści wyraźnie starał się uszlachetnić postać Cervantesa, ubronzowić go, uczynić zeń rycerskiego szlachcica. Stąd blada analiza psychologiczna, stąd zupełne zamazanie jego dramatu wewnętrznego, bo tam gdzie w bohaterze jest tylko szlachetność i tylko jednokierunkowość dążeń, tam nie ma konfliktu, a gdzie nie ma konfliktu, nie ma dramatu a tym samym i życia.

Zapewnie, hidalgo Miguel de Cervantes Saavedra był człowiekiem o wielkich porywach szlachetnych. Niejednokrotnie dał temu wyraz, i w bitwie pod Lepanto i w niewoli, i później w swym stosunku do naturalnej córki; nie można mu czynić zarzutu

---

*) Bruno Frank - Cervantes — Przekład Wandy Kragen — Warszawa, 1939 — Tow. Wyd. „Rój".

z tego, że w ciężkiej niedoli, on, jednoręki inwalida raz po raz sięgał do szkatuły swej siostry, trudniącej się nierządem. Ale pomijając mniej znany okres w jego życiu (1598 — 1603), po za tymi pięcioma latami daje nam ono obraz typowego zdeklasowanego szlachcica, odczuwającego na każdym kroku wszystkie błogosławieństwa aparatu zbiurokratyzowanej, reakcyjnej monarchii Filipa II.

Cóż za wspaniała okazja, aby poprzez postać Cervantesa dać obraz owej kontrreformacji widzianej *od dołu!* Cervantes przeszedł przez wszystkie dole i niedole owej reakcji. Pobyt w Rzymie, wojsko, niewola, lata bezrobocia, obraz rozkładającej się rodziny, zapewne jątrzący jego dumę wojaka — ojciec antyszambrujący w poszukiwaniu pracy, siostra kupcząca swym ciałem. Toć pobyt Cervantesa w Sevilli daje możność — przez Franka zupełnie nie wykorzystaną — zobrazowania owej armii pauprów, włóczęgów, picaros, ludzi marginesowych, rezerwuaru ówczesnych band szturmowców, owej armii najemnej, na której oparł się cały gmach ustroju, broniącego interesów skorumpowanej szlachty przed biegiem czasów nowych, pragnącego wyrwać Hiszpanię z obcęgów wschodzącego merkantylizmu. Toć zetknięcie się Cervantesa z tym tłumem włóczęgowskim daje możność — również zupełnie niewykorzystaną — rzucenia kilku bodaj obrazów nurtu kontrrewolucji w postaci wielkich ruchów mistycznych. Jeden tylko i może bardziej drugoplanowy moment wykorzystał Frank: zjadliwy, ironiczny stosunek Cervantesa do badania „czystości rasy" przez inkwizycję, co znalazło swój wyraz w jednej z aktówek Saavedry, gdzie kpił: „czystość rasy, czystość rasy, każdy osioł na to łasy". Ale Frank nie pokusił się o to, aby sięgnąć głębiej i wskazać, skąd płynął ów racjonalistyczny stosunek Cervantesa do reakcji, zapomniał zupełnie o tym, że Cervantes był człowiekiem Odrodzenia i Reformacji — jak to wykazali wszyscy prawie współcześni cervantesyści.**)

Jeśli postać Cervantesa, mimo epizodycznej wierności, wyszła z pod pióra Franka blado, bez wyrazu, jeśli obraz Hiszpanii epoki Cervantesa — Filipa II widziany *z dołu* jest połowiczny — znacznie słabiej wypadł drugoplanowo coprawda ujęty obraz Hiszpanii widzianej *z góry*, Hiszpanii Filipa II. Przecież między owym aparatem reakcji a najszerszymi masami istniała przepaść, którą charakteryzuje bodaj obrazek z drugiego tomu Don Kichota, rozmowa Sanczo Pansy z przebranym Maurem, przybyłym do Hiszpanii po odbiór swego ukrytego skarbu. Widzimy tam, jak to ludność wsi hiszpańskiej obdarzała sympatią wygnańców, podobnie jak ludność niemiecka nie solidaryzuje się z antyżydowskimi wyczynami ekipy goebbelsowskiej.

Kontrreformacja Filipa II, obleczona w formę fanatyzmu religijnego, dwuramienna w oparciu z jednej strony o racjonalizm Towarzystwa Jezusowego, z drugiej zaś o nurt mistyczny Świętej Teresy, której tenże król przed Jezuitami bronił — to jak słusznie powiada Louis Bertrand, pierwsza współczesna kontrrewolucja na wielką skalę, przemyślana i przygotowana starannie, skrupulatnie, tym ciekawsza, że przez długie wieki w Hiszpanii zwycięska. Zbyt pochopnym jednak do ubronzowienia geniuszu Filipa II, przypomnieć należy, że ta antymerkantylna, antymieszczańska, antypostępowa kontrrewolucja na półwyspie iberyjskim już w czasach Filipa II leżała w interesie najzacieklejszych wrogów Hiszpanii, którym bardzo dogadzało wyniszczenie rodzącego się przemysłu, wykorzenienie wszelkich sił rozwojowych; ta właśnie tendencja przetrwała od Filipa II aż do Franco. Reakcja jest zawsze antypatriotyczna. Filip II nie wiedział zapewne, nie był świadom tego, jak bardzo — niszcząc swój kraj — pracuje dla potęgi Wielkiej Brytanii, która już za jego życia zniweczyła jego Wielką Armadę. Hiszpanię Filipa II, tę Hiszpanię widzianą *od góry*, opisał poróżniony z nim na noże dworzanin Antonio Perez, który pod opieką króla Francji nie szczędził razów zdemoralizowanemu dworowi swego króla.

Zapewne, król Filip II to wielka i tragiczna postać rzecznika wielkości swego imperium, który wbrew woli pracował dla jego rozbicia i ostatecznej klęski. A że był on przecież naturą tak złożoną, tak skomplikowaną, tak pełną tragizmu w każdym prawie swym poczynaniu — i że nie był to kondotier Franco, na żołdzie obcych mocarstw — wolno było domagać się, aby powieściopisarz ukazał nam ją nawet na drugim planie w całej swej złożoności.

Między rzecznikiem feudalnej, antykapitalistycznej reakcji w Hiszpanii Filipem II, a genialnym rzecznikiem nowych prądów, synem Odrodzenia i Reformacji, Cervantesem, istnieje ogniwo wiążące: jest to utwór Cervantesa Don Kichot z La Manczy, w którym wielki pisarz ukazał nam mimowoli, jak chce Unamuno, portret twórcy Zakonu Jezuitów Ignacia Loyoli, a raczej w miniaturze portret szarego, małego, tragicznego bojownika o czasy minione, Filipa II. Don Kichot, bohater żyjący w świecie obyczajowych i społeczno-filozoficznych pojęć feudalizmu, ukazany został w całym swym tragizmie na tle zupełnie odmiennej epoki, w obramowaniu innych czasów. Wielka postępowość dzieła Cervantesa tkwi właśnie w tragikomicznej reakcyjności bohatera.

Albowiem, jeśli epoka Filipa II jest wiekiem złotym literatury hiszpańskiej — niesłusznie wpisuje się to na rachunek zasług monarchy. Literatura w jego okresie, sztuka ówczesna przyniosła wszystko, co tchnęło Odrodzeniem i Reformacją, lub powstało na skrzyżowaniu różnych prądów, bo sztuka była naonczas reakcją na zakucie w kajdany życia społecznego.

Napróżno szukalibyśmy pogłębienia obrazu tej epoki w powieści Franka. Nie ma tu wielkiego zmagania się świata merkantylnego, objawiającego się nawet w pirackich wyprawach — ze światem feudalnym, nie ma głębszego zobrazowania starć odmiennych ideologii. Szkoda. Autor zadowolił się tyl-

**) Czytelnika, który szukałby bibliografii przedmiotu, ośmielam się skierować do moich prac: „Na marginesie epoki Cervantesa" — *„Wiedza i Życie"*, 1937, zesz. 3 — oraz: „Problem Don Kichota" — tamże, zesz. 10 i 9 z r. 1938.

W najbliższych numerach ukażą się między innymi prace: ZYGMUNTA JAROSZA: p. t. „Szymon Konarski", ALEKSANDRY KOSOWEJ pt. „O przestępstwach wśród nieletnich", J. K. WENDEGO p. t. „Postawa Poli Gojawiczyńskiej", IGNACEGO WOLSKIEGO p. t. „Alfred Rosenberg", P. HULKI - LASKOWSKIEGO p. t. „Adolf Dygasiński, twórca i wychowawca".

ko powierzchownym odmalowaniem tła, z godną reportażysty nonszalancją potraktował wszelką analizę psychologiczną, przeszedł do porządku dziennego nad dialektyką i złożonością opisywanych przez siebie czasów — aby dać wierny, z bezsprzeczną kulturą pisarską skomponowany obraz burzliwego życia hidalga de Saavedry. Być może i to wystarczy; i to jest wiele.

Tłumaczka starała się jaknajwierniej przełożyć oryginał. Udało jej się to całkowicie. Ale dlaczego Cerwantes? Jeśli już zastosować fonetyczną transkrypcję, to należy pisać Tserwantes, Saawedra, Akwawiwa (a nie Aquaviva). Aranchuets itd. Pani Kragen raz pisze Saavedra, a wiersz po tym Saawedra (str. 263). Trzeba się było jednak zdecydować.

JERZY BOREISZA.

Kolumna rozmaitości

MILION RADIOABONENTÓW — ETAP DZIAŁALNOŚCI

Polskie Radio osiągnęło liczbę miliona abonentów, a tym samym wysunęło się na jedno z lepszych miejsc wśród radiofonii światowych i udowodniło cyframi i faktami, że wniknęło głęboko w życie społeczeństwa i stało się artykułem powszechnej potrzeby najszerszych warstw. Nawet wieś, do niedawna stojąca znacznie w tyle za miastami, ruszyła z miejsca i może się wykazać liczbą 350.000 radioabonentów, co nie jest pozycją wystarczającą jak na kraj w większości swojej wiejski, jakim jest Polska, ale stanowi w każdym razie znaczny postęp w stosunku do przeszłości.

Radio stało się potrzebą społeczeństwa, a kto zaczął je konsumować, ten nie łatwo z niego rezygnuje. W odległych miejscowościach rola Radia jest jeszcze większa niż w miastach, stanowi tam bowiem najskuteczniejszy, najbardziej wszechstronny i najszybszy łącznik między mieszkańcami i światem. Uskrzydlone słowo radiowe dociera wszędzie szybciej i pewniej od poczty, a więc od gazety i listu, które muszą przebywać nieraz dalekie przestrzenie i pokonywać trudności komunikacyjne.

Popularność Radia, fakt, że stało się potrzebą, bez której ogół nie może się obejść, nakłada na nie specjalne obowiązki. Radio, jako instytucja państwowa u nas jest własnością całego społeczeństwa i musi służyć temu społeczeństwu jako całości. Tym samym musi uwzględniać najrozmaitsze prądy i kierunki myśli politycznej i społecznej i nie może dawać jednym pierwszeństwa, a nawet monopolu kosztem pozostałych. Radiosłuchacz ma prawo do otrzymywania wiernego i aktualnego obrazu świata, w którym jego przekonania i dążenia znajdują również wyraz.

Radio nie powino i nie może znajdować się w chwilowym, a co dopiero dłuższym lub trwałym konflikcie z przekonaniami i poglądem na świat znacznej części a postawimy nawet twierdzenie, że znacznej większości, swoich odbiorców. Mamy tu przede wszystkim na myśli radiową służbę informacyjną i wszystko to, co można podciągnąć pod miano propagandy politycznej, kulturalnej czy innej.

Totalizm radiowy jest rzeczą absolutnie niedopuszczalną. W interesie radia i społeczeństwa leży, żeby Radio Polskie stało się czym prędzej wolną od wszelkiego totalizmu dźwignią kultury narodowej.

KONKURS NA SZTUKĘ DLA ZESPOŁÓW TEATRALNYCH

Teatralne zespoły robotnicze odczuwają wielki brak odpowiednich sztuk do odgrywania. Towarzystwo Uniwersytetu Robotniczego (T.U.R.), Zarząd Główny w Warszawie, rozpisuje wobec tego konkurs.

Sąd konkursowy z ramienia T.U.R., w skład którego wchodzą: Aleksander Maliszewski, Zofia Nałkowska, Wanda Niczowa, Eugeniusz Poreda, Edward Szymański, Natalia Zarembina, Jerzy Zawieyski, Aleksander Zelwerowicz i członkowie zarządu głównego T.U.R.: Dorota Kłuszyńska, Michał Sokołowski i Zygmunt Piotrowski — ustalił na posiedzeniu 8 stycznia b. r. następujące warunki:

1. Utwór winien być oparty na ideologii T.U.R., t.j. hołdującej zasadom wolności, demokracji i sprawiedliwości społecznej, a przystosowany w miarę możności, do potrzeb i warunków scen robotniczych (niewielka obsada, czas trwania przedstawienia nie dłużej jak godzinę i pół).

2. Utwór nie może być przed konkursem ani publikowany ani wystawiany.

3. Ustala się sześć nagród w łącznej kwocie jeden tysiąc złotych (nagrody po 300 zł, 200 zł, 150 zł i po 100 zł). Sąd zastrzega sobie zmianę klucza podziału nagród. Poza nagrodzonymi sztukami — mogą być sztuki wyróżnione i polecane. Utwory nagrodzone stają się własnością T.U.R.

4. Termin zgłaszania prac — do dn. 31 marca 1939 roku. Należy nadsyłać (maszynopis) pod adresem: Sekretariat Generalny Zarządu Głównego T.U.R., Warszawa — Czerwonego Krzyża 20. Utwory należy podpisywać godłem. W

OD WYDAWNICTWA

ABONENTÓW, KTÓRZY ZALEGAJĄ Z OPŁATĄ PRENUMERATY ZA KWARTAŁ UBIEGŁY I BIEŻĄCY PROSIMY O UREGULOWANIE NALEŻNOŚCI.

Od Wydawnictwa

Prosimy o nadesłanie przedpłaty za kwartał I 1939 r.

kopertach zamkniętych, dołączonych do utworu, należy podać godło, nazwisko i dokładny adres autora.

5. W pierwszych dniach maja b. r. ogłoszony zostanie wynik konkursu w prasie, a nagrodzeni autorzy zostaną zawiadomieni listownie.

W prasie robotniczej ukaże się artykuł, omawiający szerzej cele i zadania konkursu.

ZAWIADOMIENIE: JÓZEF PIŁSUDSKI W ILUSTRACJI FOTOGRAFICZNEJ

Instytut Józefa Piłsudskiego, poświęcony badaniu najnowszej historii Polski zawiadamia, że prace podjęte nad wydawnictwem pt. „Józef Piłsudski w ilustracji fotograficznej" zbliżają się ku końcowi. Jak wiadomo z poprzednich komunikatów wydawnictwo kilkutomowej objętości stanowić będzie celowe uzupełnienie niedawno wydanych „Pism Zbiorowych". Zawierać ono będzie możliwie wszystkie fotografie Józefa Piłsudskiego dokonane w kraju i za granicą, opisane pod względem treści, czasu i miejsca.

Ze względu na specjalny charakter wydawnictwa Instytut prosi wszystkich, którzy posiadają jakiekolwiek mało znane fotografie Józefa Piłsudskiego, a nie przesłali ich dotąd, aby zechcieli je przesłać do Instytutu, lub zawiadomili o ich posiadaniu.

Po wykorzystaniu zdjęcia fotograficzne zostaną bezwłocznie zwrócone właścicielowi przy czym w wydawnictwie będą uwidocznione nazwiska ofiarodawców. Instytut gwarantuje, że zdjęcia będą zwrócone w stanie nieuszkodzonym. Byłoby pożądane, by nadsyłający fotografie załączali do nich szczegółowe objaśnienia treści zdjęcia, miejsca i czasu powstania.

Wobec rychłego już zakończenia prac przygotowawczych Instytut prosi o możliwie szybkie przesłanie fotografii pod adresem: **Instytut Józefa Piłsudskiego w Warszawie, Aleje Ujazdowskie 1.**

Należy podkreślić, że na skutek poprzedniego apelu Instytutu wiele osób przesłało posiadane fotografie celem wykorzystania, dzięki czemu zbiór Instytutu wydatnie się powiększył, dochodząc do cyfry 4000 zdjęć Marszałka. Instytut przy tej sposobności składa wszystkim tym ofiarodawcom serdeczne podziękowanie.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu M. G. w Przemyślu: Zamieścimy w jednym z najbliższych numerów.

Panu S. P. w Częstochowie: Każdy objaw duchowej łączności z pismem jest zawsze cenny i stanowi zachętę do dalszej pracy. Bardzo Panu Doktorowi dziękujemy.

Panu E. K. w Otwocku: Jeszcze nie do druku, ale warto pracować i przezwyciężać trudności. Radzi bardzo jesteśmy, że mogliśmy się Panu przysłużyć.

Panu T. M. w Drużbinie: List Panów jest hojną zapłatą i prawdziwą nagrodą za pracę. Jesteśmy bardzo wdzięczni za te objawy serca.

Panu St. G. w Łodzi: W „Dekadzie politycznej" oświetlamy najważniejsze zagadnienia i zjawiska polityki światowej. Samo życie zniewala nas do stopniowego rozszerzania tej rubryki, ale rozszerzanie to znajduje swoje granice w innych rubrykach, które w numerze są także potrzebne. Za pamięć bardzo Panu dziękujemy.

Panu W. K .w Tarnowie: Nie możemy Panu odstąpić roczników „Głosu" i „Społeczeństwa". Jest rzeczą wątpliwą, czy znajdzie je Pan w antykwarniach. Chyba okazyjnie. Natomiast napewno mają je wielkie biblioteki publiczne a także uniwersyteckie.

Panu R. K. w Kielcach: Za miłe słowa bardzo Panu dziękujemy. Tylko w wielkich bibliotekach znajdzie Pan wymienione roczniki pism. „Epoka" z roku 1936 i z pierwszej połowy 1937 r. jest wyczerpana. Możemy służyć tylko drugą połową 1937 r. i rocznikiem 1938. Wysłaliśmy egzemplarze ostatniego numeru.

Pani Z. O. w Borkach: Za nadzwyczajnie miły i serdeczny list bardzo Państwu dziękujemy.

Panu S. B. w Radomiu: Idziemy swoją drogą, nie dbając o sąd hebesów. Nie możemy się zniżać do polemiki z taką zakałą moralną i umysłową naszych czasów. Wartki nurt życia unosi brudną pianę, która wiruje i czasowo przesłania rzeczywistość. Parujące śmietniki chętnie się omija, pozostawiając rozgrzebywanie ich powołanym rękom zawodowców. Panu też nie radzimy polemizować z organami o takim poziomie i smaku moralnym.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA, WARSZAWA, UL. O R D Y N A C K A 5 — TEL. 213-90 — KONTO P. K. O. 26 630
R E D A K T O R przyjmuje w środy i w piątki od godziny 17-ej do 18-ej. R Ę K O P I S Ó W nie zwraca się.
P R E N U M E R A T A kwartalnie — zł 3.60. Numer pojedyńczy 40 gr.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm, lub jego miejsce (szer. 90 mm) zł. 1.—. w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm) gr 40.
REDAKTOR I WYDAWCA: HENRYK LUKREC. 70 Odbito w Zakł. W. Piekarniaka, Warszawa, Ordynacka 3.